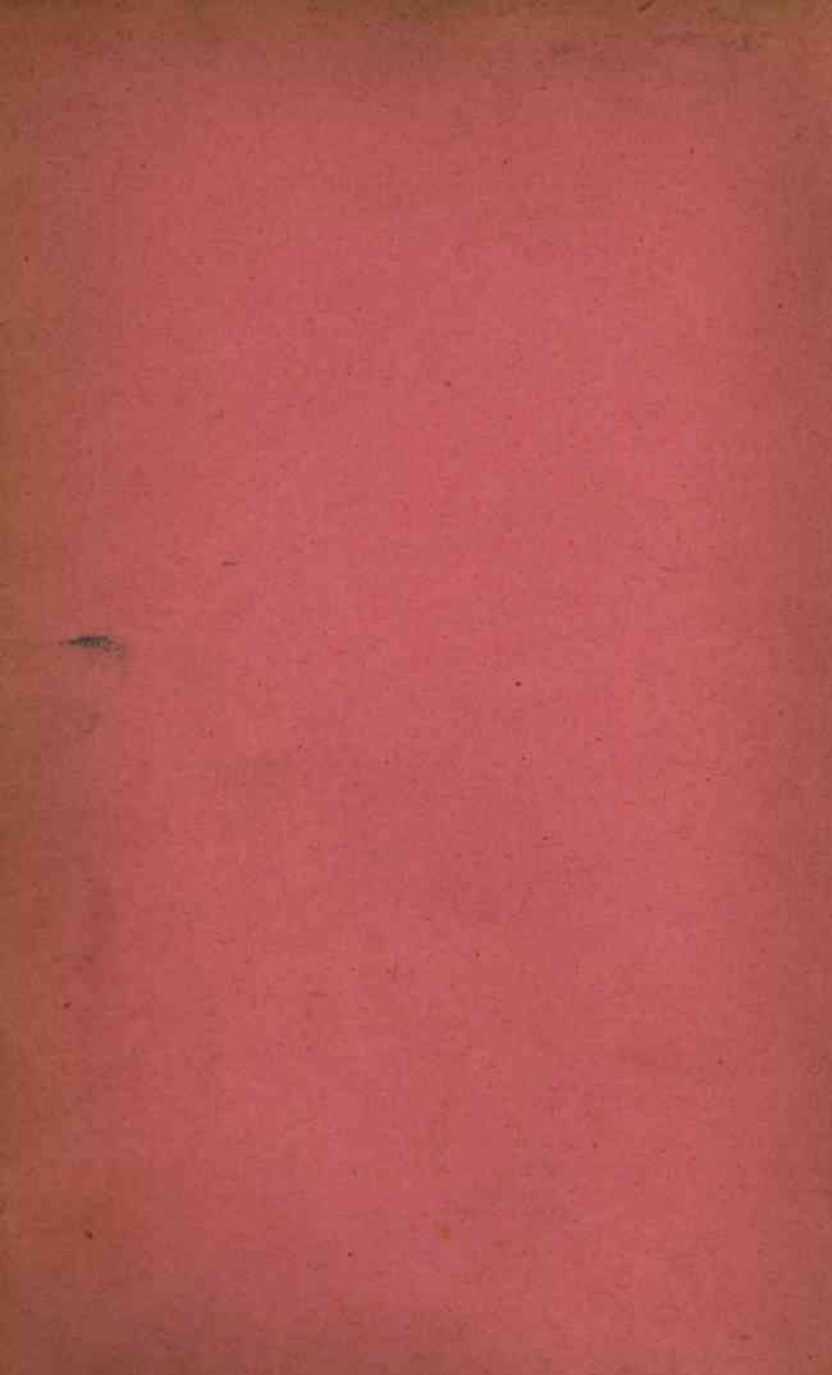


24, 1, 46

65 87



1163

Ludzie - Olbrzymy.

© 1058.

BIBLIOTEKA
Urzedników Krak. Twa. Wzaj. Ubezpieczeń
KRAKÓW



1000182612

65 87

TADEUSZ ZUBRZYCKI.

WOS 5821

LUDZIE-OLBRZYMY!

Cykl fragmentów z doby napoleońskiej



z przedmową

WŁADYSŁAWA BELZY

1058



BIBLIOTEKA

Urzędników Krak. Twa. Wzaj. Ubezpieczal.

■ EKESZOWIE

■ BIBLIOTEKI

Dra FRANCISZKA UHORCZAKA.

65 87

LWÓW.

Nakładem księgarni Jana Maniszewskiego.

1911.

A. 32496

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

literat. 13a

Drukiem A. Goldmana we Lwowie, ul. Sykstuska 19.

K 1352/61/1

Przedmowa.

Najtrudniejszym zadaniem dla piszącego, jest pisanie przedmowy, a to nie tylko dla autora ale i dla jego zastępcy. To też najczęściej wychodzą dziś książki bez przedmów, a choć dawne przysłowie powiada, że „książka bez przedmowy jest jak człowiek bez głowy“, — to jednak, nie jeden autor woli znosić to przykre posądzenie, niż wysilać swój mózg dla rzeczy najczęściej nudnej i w dodatku takiej, której nikt nie czyta.

Jeśli więc zgodziłem się na skreślenie krótkiego wstępu do niniejszej książki, to musiałem mieć do tego jakąś przyczynę. Otóż w tym wypadku, był wzgląd na wydawcę, który złożył mi pracę p. Tadeusza Zubrzyckiego w rękopisie, z prośbą o wydanie o niej sądu, a gdy ten sąd wypadł dla niej jak najpomyślniej, żądał stwierdzenia na piśmie.

Otóż, z przyjemnością stwierdzam, że czytałem pracę p. Zubrzyckiego z wielkiem zajęciem; że ci „Ludzie-olbrzymy“, o których on w książce swej mówi, zajęli mię bardzo, gdyż nie są to jacyś bajeczni giganci, ale nasi, z krwi i kości żołnierze z pod Trebii, Rzymu, Certosy i Peschierzy, gdzie według słów poety „zatknęli zwycięskie pałasze“...

Nie dzisiejsi to ludzie — i dlatego tak do olbrzymów podobni! Czyta się też o ich niezwykłych przygodach „po łądach, morzach, piaskach gorących i mrozie“, z zajęciem i rozrzewnieniem, i nieraz wierzyć się nie chce, że żyli oni istotnie, że byli tacy ogromni wiarą i poświęceniem, i że szli w bój za ojczyznę z taką brawurą i ochotą, jak inni idą do tańca.

Takich to ludzi i takie to czasy maluje nam autor; a że je pilnie studyował, że je ukochał gorąco, więc też maluje je z artystycznym poczuciem, barwnie i żywo, jak na artystę przystało. Stąd książkę jego czyta się z zajęciem i budzi ona tę wiarę w siebie, która i autora ożywia.

Cóż więcej dodać do tego, com wyżej powiedział? Chyba to jeszcze, że p. Zubrzycki,

choć młody wiekiem, zebrał już sporą wiązkę prac literackich, w których w barwnej i popularnej formie opowiada o naszej przeszłości, jako to: o „Kościuszkowskich czasach“, o „Sławnym wodzu Dąbrowskim, o „Sierżancie Jaszczułdzie“, o „Wyprawie Dwernickiego na Wołyń“... a opowiada tak pięknie, że chciałoby się słuchać go jak najdłużej.

Niechże więc i dalej jeszcze gawędzi nam o tej przeszłości którą tak ukochał; niech wskrzesza polotnem piórem swoim zmarłych wodzów i bohaterów, i niech będzie przekonany, że terażniejszość nie poskąpi mu ucha dla jego gawęd i uznania dla jego talentu.

WŁADYSŁAW BEŁZA.

Lwów, 2. lutego 1911 r.

BIBLIOTEKA
Wzędalków Krak. Twa. Wzaj. Ubezpieczeń
W BZESZOWIE.

I.

Ludzie - olbrzymy.

Ojczyznę na trzy części rozdarto — część wódzów w niewolę poszła, niedobitki wojska rozprószyły się po szerokim świecie, lub wzięte przemocą w pruskie, rosyjskie i austriackie szeregi, pognano w dalekie kraje, hen ku italskim polom, gdzie kazano im walczyć przeciw zastępom młodej republiki francuskiej.

Na zachodzie wschodziła nowa gwiazda — zjawiał się nowy wódz, młody bohater, który nie wahał się wyzwać w szranki niemal całą Europę.

Syn ubogiego adwokata, skromny oficer francuskiej artylerji, w dwudziestym siódmym roku swego życia generał korpusu, wśród ulewy kul i kurzawy krwawych bitew dobijał się karyery. Jednym kopnięciem nogi obalał stare trony, jednym pociągnięciem pióra zmieniał kartę Europy.

Z głodnem, obdartem i źle płatnem wojskiem, w połowie z niedoświadczonych dzieciuchów złożonem, rozbijał w puch regularne austriackie pułki, złożone ze starego żołnierza — w zakłopotanie i w rozpacz wprowadzał doświadczonych i wytrawnych austriackich strategów, którzy nie mogli pojąć,

jak głodny i bosi żołnierz jest w stanie zwyciężać dobrze odzianych i najedzonych Niemców.

Młody wódz nie żartował. Upokorzył Sycylię, opanował Lombardię, rozpedził na cztery wiatry wojska książąt Parmy i Modeny, zmusił Neapol i państwo kościelne do uległości, zdobył Peschierę i Weronę, w potokach krwi ugasił zarzewie buntu w Medyolanie, rozgromił wojsko austriackie idące w pomoc włoskim książętom i wpędził je w wąwozy Tyrolu — następnie pospieszył przeciw świeżej armii cesarskiej, dowodzonej przez feldmarszałka Wurmsera i w jednej bitwie przyprawił ją o utratę połowy ludzi.

Lew mieszkał, w duszy tego Korsykańina.

On nie znał, co trwoga. Pod deszczem kul i karcacy prowadził swych grenadyerów przez most pod Arcole, do niechybnego zwycięstwa.

Ku temu wodzowi z utęsknieniem zwracały się oczy polskich tułaczy-rozbitków.

Garść Polaków, w obcych mundurach, dowodzona przez majora Strzałkowskiego, towarzyszyła Bonapartemu podczas jego zwycięskiej wyprawy.

I w onej chwili pan Henryk Dąbrowski, jeden z najdzielniejszych generałów kościuszkowskich, rzucił myśl formowania legionów.

Po nieudanych zabiegach na Wołoszczyźnie, po chybionej wyprawie Denyski, tam pod skwarnem niebem Italii, na lombardzkich polach, zrodził się czyn.

Czyn wielki — wiekopomny!

Legie nasze — sławne legie! Ileż krwi polskiej użyżniło italskie łąny, iluż co najwaleczniejszych zuchów legło w krwawych dniach Marengo i Civita-

Castellana, iluż złożyło swe kości w przesmykach Alp i na piaskach Egiptu pod piramidami — ilu nie-
litościwa żółta febra pochłonęła na dalekiem San-
Domingo! Niewdzięcznością was nakarmiono, nie do-
ceniono waszego poświęcenia i bohaterstwa, a wyście
szli głodni, bosy, w poszarpanych w łachmany mun-
durach, niepłatni, ranami okryci, z godnością dźwi-
gając sztandar Białego Orła, zapatrzeni hen, w siną
dal północy, czy nie widać świtu...

Liberacki, siedmdziesięcioletni konfederat Da-
rewski, Chamand, Rymkiewicz, Jabłonowski i tylu,
tylu innych, którzy swe życie obcej sprawie w ofierze
złożyli! Imiona ich złotemi głoskami naród w swem
sercu zapisać winien.

A wśród tych bohaterów jaśniej promienna po-
stać wodza legionów, generała Henryka Dąbrow-
skiego.

Nie kondotjerem on był — nie dla zysku i sławy
ofiarował swą szpadę francuskiej Rzeczypospolitej...

Gdy krwiożercze sępy Ojczyznę na troje rozdarły,
zwątpienie nie wstąpiło w serce wodza legionów. Szedł
tam skąd tylko błąd nadziei świtał, w naj-
gorszych zwątpienia chwilach serca rodaków krzepił,
stał wiecznie z bronią u nogi, jak żuraw czujny, ocze-
kując chwili, w której puls narodu uderzy. Gdy przy-
szły dla legii dni nędzy i głodu, gdy żołnierz sarkać
począł, ów „kondotjer“ sprzedał starą siedzibę swych
ojców — Pierzchowice — i zastawił rodzinne klejnoty,
by legionistów nakarmić i przyodziać. Nie pragnął od-
znaczeń, nie dbał o wygody, zadowalniał się kęsem
suchego chleba — pospołu z żołnierstwem, przy ogni-
sku, na gołej ziemi sypiał.

Jak kryształ jasną, jak łąza czystą, była dusza wodza legionistów, płomienne, zapałem gorejące serce biło w jego żelaznej piersi.

Z pod stóp śnieżystych Alp wyszła w świat odezwa, jego ręką skreślona, w której rodaków pod ojczyste sztandary wzywał. Po żołniersku zredagowana, krótka, dobitna — jak karabinów grzechot, jak sztandarów łopot, jak armat granie.

„Przybywajcie — wołało pismo wodza, — rzucajcie broń, którą was nosić przymuszono, bijmy się za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność...”

„Tryumfy Rzeczypospolitej francuskiej są naszą jedyną nadzieją, za jej pomocą może jeszcze zobaczymy domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili”.

Nie przebrzmiały bez skutku słowa wodza. Zbiegali rekruci polscy i starzy kościuszkowscy żołnierze z pod austriackich chorągwi, młodzież z kraju przekradała się „lasami i bagnami“, omijając graniczne kordony — spieszyli na wezwanie dawni oficerowie polscy.

W Medyolanie formowały się legie.

Przybyli tu Amilkar Kosiński, ten który między braćmi na miano „pierwszego legionisty“ zasłużył, major Eliasz Tremo, brygadyer Liberacki, bracia Downarowicze, Konopka, Dembowski, Borowski, generałowie Kniaziewicz i Wielhorski, pułkownik Chamand, szef Drzewiecki, majorowie Forestier i Zabłocki, Rymkiewicz, Godebski, Berek Joselowicz, towarzysz Głowackiego z pod Raławic Świstacki, stary konfederat barski Darewski. Spieszyli, by stanąć w szeregu i rozpocząć dalszy ciąg walki o niepodległość Polski.

Wraz z nimi przybył poseł Józef Wybicki, ów moralny przewodnik wygnańców, dobry duch legionów, niestrudzony pracownik narodowej sprawy.

Szeregi legii zapełniały się. Przybywali tułacze, żołnierze, którym broń z ręki wydarto, chłopci, mieszczanie i brać szlachta, z zagród domowych wyrzuceni, częstokroć bez grosza w kieszeni, ale wielcy i potężni duchem, wiarą silni, w przedsięwzięciach niezachwiani. Z pogodnym czołem szli na śmierć pewną, znosili bez szemrania niesłychane trudy, żyli jak jedna wielka rodzina, dzieląc się każdym łykiem gorzałki i ostatnim kawałkiem suchara. Zwyż czterdziestu nadliczbowych oficerów, bez środków do życia, znalazło się przy legione — reszta odstępowała im część swej płacy, by ich utrzymać i wyżywić.

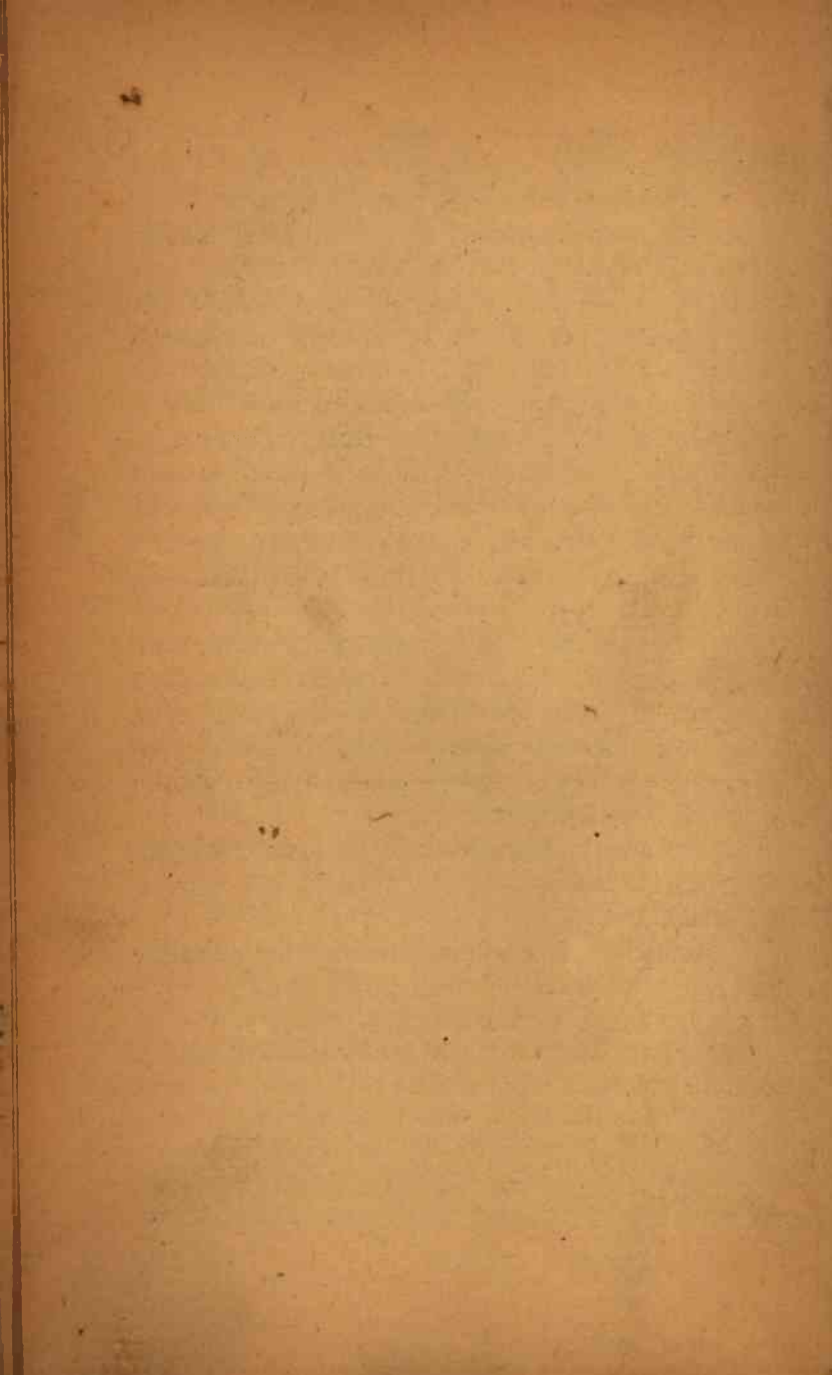
W wolnych od służby chwilach, generał Rymkiewicz i kapitan Paszkowski wykładali legionistom dzieje ojczyste, czytali im wyjątki z dzieł naukowych, zaś Cypryan Godebski wydawał swą „Dekadę“, pisaną gazetę, w której zamieszczano wyjątki z pism francuskich i wiadomości z kraju.

W kurzawie krwawych bitew zdobywali dla polskiego imienia sławę — sławę trwalszą od kararyjskich pomników.

A na epoletach legionistów widniał wyhaftowany napis, szczytny i wielki jak hasła owej doby:

„Wolni ludzie są sobie braćmi“.

Takimi byli synowie lackiej ziemi, ludzie-olbrzymy, przestawni żołnierze wolności.



II.

Gromowa pieśń.

Pieśni polska — tyś jak rosa,
Co na skrzepłą duszę spada,
Ty ją wiedziesz pod niebiosa —
Jak w noc ciemną gwiazdka błada.
Szczęsny po nad czyją głową,
Skrzydło swoje tyś rozpięta,
Gdy mu w piersi rzucisz słowo:
Jeszcze Polska nie zginęła!
Władysław Bełza.

Zrodziła się ona wśród dymu obozowych
ogni...

Było to przed zawarciem pokoju w Campo-
Formio.

Lombardia gorzała płomieniem buntu, królowa
Adryatyku — Wenecya, hardo podniosła czoło i strza-
łami armatnimi odpowiedziała na wezwanie do pod-
dania się. W ślad za Wenecją powstała i Werona,
wycinając w pień szczupłą załogę francuską, nie prze-
baczając nawet rannym w szpitalach.

Austria uradowana postępem rewolucyi włoskiej,
wahała się z podpisaniem preliminaryów pokojowych.

Lecz Bonaparte się nie zatrwożył. Ścisnął dum-
nych Wenecyan, którzy musieli kapitulować i przyjąć
załogę francuską, pod Weronę wysłał dywizyę gene-

rała La Hoz, na linię bojową wezwał legionistów polskich. Liberacki wstępny bojem opanował szaniec Werony i śmiercią okupił swój czyn bohaterski.

Bonaparte stał kwaterą w Passiniano i tam za-
wezwał generała Kniaziewicza i szefa Drzewieckiego.

— Poszlę was w przedniej straży — rzekł im wielki wódz. — Z tą wiadomością wracajcie do swoich.

A zwróciwszy się do obecnych w sali dyplomatów austriackich, którzy mu warunki pokoju przywieźli — krzyknął groźnym głosem:

— Co to za warunki? ! Niemasz pokoju, aż go w waszej stolicy podyktuję!

Radośna ta wiadomość podziałała na legionistów, jak iskra elektryczna. Otucha wstąpiła w ich serca, zdawało im się, że już bliską jest ta chwila, w której jako zwycięzcy wkroczą do ojczyściej ziemi, zwiastować wolność rodakom.

W Bolonii zbierała się legia. Tu przybyli generałowie Dąbrowski, Kniaziewicz i Wielhorski, tu szef Białowiejski przywiódł z Lille tysiąc nowozaciężnych ochotników. W miesiącu czerwcu 1797 roku liczba legionistów dochodziła dziesięciu tysięcy jazdy, piechoty i artylerii. Był to żołnierz bitny, wytrzymały i zapalem ożywiony.

Na lombardzkich polach, przy biwaku, na żołnierskim bębnie, krwią serdeczną pisana, zrodziła się pieśń owa. Powstała ona pod wpływem otuchy i wiary w lepszą narodu przyszłość.

Pieśń nadziei, pieśń, przy dźwiękach której szły bataliony legii w najgęstszy ogień armatni, z której nutą na ustach wróciły resztki legionistów do Ojczyz-

ny, która towarzyszyła wiarusom naszym w krwawych bitwach Grochowa, Wawru, Dębu, Igań i na szańcach Warszawy.

Pieśń ta krzepiła serca „leśnej braci“ w sześćdziesiątym trzecim roku, i kazał ją grać pruskim kapelom generał Steinmetz, naszym Bartkom i Maćkom, mrącym tysiącami pod piekielnym ogniem francuskich kartaczownic i chassepotów.

Pieśń ta, jak gdyby zwiastunka rychłej swobody, witająca rodzinne strony, nucona z zapałem przez tych, którzy o setki mil oddaleni od kraju, marzyli o nim w nocy i na jawie, przedarła się przez góry i morza, doszła pod ojczystą strzechę, otuchą napełniając serca dźwigających obce jarzmo rodaków.

Pan Józef Wybicki nie był poetą, ani wielkim kompozytorem. On, pod wpływem gromowych wypadków, napisał pieśń, pełną prostoty, a jednak try-skającą życiem i siłą — nie pieśń, lecz bojową pobudkę raczej, gromkie zawołanie, które od stu lat z górą z jednakim zapałem śpiewamy — pobudkę, na odgłos której krew, jak war, w żyłach krążyć poczyna — pobudkę, która łączy z oczu wyciska.

Ta pieśń, to — „Jeszcze Polska nie zginęła“!...

Pozostawili ją nam w spuściźnie przodkowie nasi, ogromni duchem, sercem miłością kraju pancernem, prawdziwi ludzie-olbrzymy. Pozostawili nam na znak, że wielki dzień przyjść musi, że skończy się niedola nasza, że mimo złości ludzkiej, mimo wszystko — „Ona jeszcze nie zginęła“!

III.

3. Maja 1798.

Bonaparte zawarł pokój z Austryą w Campo-Formio i przysłał rozkazy natychmiastowego cofania się z dotychczasowych stanowisk. — Wieść ta jakby gromem uderzyła w naszych legionistów, pełnych nadziei i zapału i gotujących się do wymarszu przez Dalmacyę i Węgry do kraju. Do głębi wstrząsnęła dusze i serca wodzów i szeregowców.

Ponura rozpacz ogarnęła legiony. Rozchorował się ze zmartwienia pan Henryk Dąbrowski, Wielhorskiemu krew puścić musiano, generał Kniaziewicz, złamany i przybity, poprowadził legię na zimowe leże do Ferrary.

Przywykły do karności żołnierz, bez zapału wprawdzie, lecz w milczeniu spełniał wszelkie rozkazy. Strzegł Mantui i Wenecyi, czuwał u granic rzeczypospolitej cisalpińskiej, wojował z zastępami papieskimi, brał szturmem twierdzę San Leo, bez strzału niemal zajął całe państwo kościelne.

Przez Pezaro, Immoli, Ankone i Spoleto maszerowała nasza legia wprost na Rzym i w dniu 3-go maja 1798 roku, w pamiętną rocznicę nadania Konstytucyi, wojska stanęły u bram wiecznego miasta.

I cudnie było w ów dzień na Bożym świecie. Słońko świeciło jasno i pogodnie, od oliwnych gajów szedł odurzający wonnością zapach, lekki wietrzyk chłodził uznojone czoła tułaczy.

— Święto dziś — rzekł pan pułkownik Białowieski — siódma rocznica 3. Maja.

— Święto, święto — powtarzali żołnierze — a my nie w kraju!

Jakaś rzewność ogarniała wiarusów, w niejednym oku łza błysła.

Legia wystąpiła w paradnych mundurach, przed miastem żołnierze oczyścili się i orzeźwili przy jednym z licznych strumieni.

Przychylna wieść poprzedziła ich wejście do Piotrowej stolicy. Mieszkańcy nie kryli się po domach, lecz tłumnie wylęgli na ulice, by obaczyć synów dalekiej północy, o których mówiono im, że są gorliwymi katolikami, że czczą Najświętszą Pannę, jako Królowę korony polskiej, i że najprzykładniej modlą się w kościołach.

Przy biciu w bębny i przy odgłosie trąb, w trzech kolumnach weszli wiarusy na kapitolińskie wzgórze.

Pod posągiem Marka Aureliusza, w towarzystwie nieodstępnego szefa Drzewieckiego, stał pan Henryk Dąbrowski, w generalskim mundurze, w rogatym kasce na głowie.

Szeregi rozwinęły się i jak wryte stanęły w miejscu.

— Do nogi broń! — rozległ się głos komendy.

Pan Dąbrowski w środek szyków wjechał, kask zdjął z głowy i mówić zaczął.

Szeregi ścisnęły się.

— Żołnierze — mówił pan Dąbrowski — stanęliście na szczycie Kapitolu — tej góry, na której od tylu wieków sława jaśniała. Ona i wam towarzyszy. Pomnijcie, w jakim dniu wstępujecie tutaj — w rocznicę nadania wiekopomnej Konstytucji 3-go Maja, w dniu tak drogiej dla nas pamiątki. Niech godło sławy, miłości kraju, ukochanie wszystkiego, co ojczyście, na zawsze w sercach waszych pozostanie. Widzicie te sztandary, które nad głowami waszemi łopocą?! Rodacy-tułacze, wierzajcie mi, że sztandary te, które was na szczyt Kapitolu zawiodły, doprowadzą was szczęśliwie do wolnej, niepodległej ojczyzny!..

Znów zagrały bębny — bataliony legii z rozwiniętymi sztandarami defilowały przed stojącym pod posągiem wodzem, wznosząc rogate czapy w górę i śpiewając z zapalem:

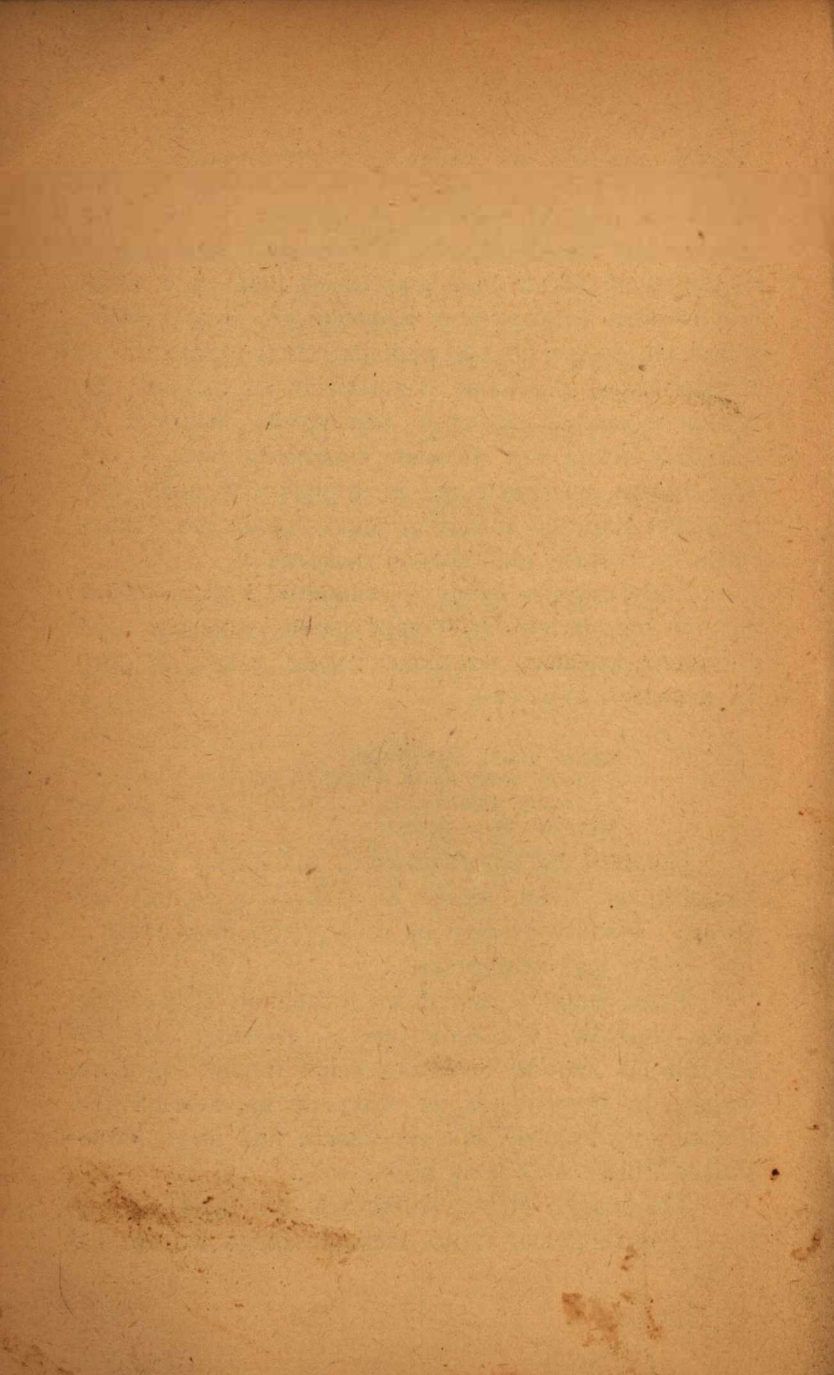
Marsz, marsz Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem,
Złączym się z narodem.

Generał stał wyprostowany, zasłuchany w słowa huczającej, jak grom, pieśni. Z oczu jego płynęły łzy gorące i spadały gradem na rabaty jego munduru.

Wódz legionów płakał...

Przed oczyma jego duszy przesunęły się postacie króla, posłów, mieszczaństwa i szlachty, idących zgodnie do kadedy warszawskiej, wzdłuż szpaleru wojska, by poprzysiądz na wierność konstytucji. W uszach jego brzmiał, zda się, jeszcze huk dział, zwiastujący Polsce narodziny nowej ery...

Od posągu Marka Aureliusza bił jakiś dziwny blask i opromieniał czoło wielkodusznego wodza.



IV.

Adjutant Naczelnika.

W owym czasie, gdy rząd francuski, przekonawszy się o znacznych usługach, jakie polskie legie oddały sprawie republiki, postanowił je powiększyć i zabrał się do formowania legii naddunajskiej, spora garść Polaków znalazła się w nadsekwańskiej stolicy. Bawił tu Naczelnik Kościuszko, panowie Wybicki i Bars, a prócz nich spory zastęp oficerów. A więc szef Drzewiecki, generał Sokolnicki, podpułkownik Gawroński, kapitan Kossecki, były adjutant Naczelnika Fiszer i wielu innych.

Bieda wielka gościła wśród gromadki naszych wychodźców, a towarzysza jej nędza, zazierała częstokroć do mieszkania tych ludzi, których nazwiska niedaleka przyszłość sławą opromienić miała. Ze stolicyzmem i zaparciem się swojego *ja* — znosili nędzę heroiczni mężowie, twórcy legionów, których bezgraniczne poświęcenie, odwaga, hart ducha i cnoty, na czoło narodu wyniosły.

Pan Stanisław Fiszer należał do ich rzędu. Za rewolucyi adjutantował przy boku Naczelnika. Z nim razem ranny, na maciejowickim placu, wprost z pobojujowiska w rosyjską niewolę poszedł. W Paryżu od lu-

dzi stronił, przesiadywał w bibliotekach publicznych, lub nad książkami w domu. Niegdyś zacny towarzysz, szczerzy kolega, dobry do wypitki i do wybitki, dziś wszystkich unikał. Zawsze zamyślony i ponury, niechętnie na pytania odpowiadał.

— Dyabli wiedzą co z Fiszerem się stało,—mawiał szef Drzewiecki. — Widocznie w więzieniu dopiekli mu Moskale do żywego.

A nikt nie wiedział, że pan Fiszer dlatego nigdy nie dał się wciągnąć do jakiejś restauracyjki, iż nie miał grosza przy duszy. Od wielu dni żywił się chlebem okraszonym serem, lub wytłoczonymi winogronami, branemi na kredyt w sąsiednim sklepiku. Przeżył tak wiele dni, w końcu wyczerpał się szczupły zapas pieniędzy, wyczerpał się kredyt — gospodarz groził wyrzuceniem z mieszkania, sklepiczarka odmówiła dalszego kredytu...

Dawny adjutant wielkiego Naczelnika głód cierpiał... Przyszły szef sztabu armii Księstwa Warszawskiego, od dwóch dni nie miał w ustach kawałka chleba...!

Jednak nie ugiął się, nikomu z towarzyszy nie zwierzył się, że głód mu wnętrzości skreca.

W takiej chwili zaszedł do jego mieszkania szef Drzewiecki. Wesoło powitał mizantropa, huknąwszy w progę mieszkania:

— Cóż Stasiu — siedzisz jak asceta nad pismem świętem! Rozruszaj się u dyabła! Przyszedłem umyślnie, by cię wyciągnąć na świat Boży!

— Służę ci z przyjemnością — odparł Fiszer skwapliwie.

Drzewiecki rozejrzał się po mieszkaniu, zauważył, że tu nędza z każdego kąta zęby szczyrzy i nic nie mówiąc — pokręcił głową.

Tymczasem Fiszer narzucił płaszcz na siebie i wyszli z mieszkania,

Dłuższą chwilę szli w milczeniu. Napróżno Drzewiecki kilkakrotnie usiłował nawiązać rozmowę — Fiszer zbywał go ogólnikami — na jego zapytania monosylabami odpowiadał.

Dochodzili właśnie do bulońskiego lasku, gdy nagle Fiszer chwycił się za skronie i oparł się o mur kamienicy.

— Słabo mi... — szepnął przez ściśnięte zęby.

Prędzej niż Drzewiecki, dojrzał jego osłabienie przejeżdżający dorożkarz. Wstrzymał konie i biorąc Fiszera za podpitego jegomościa zaproponował cokolwiek ironicznie:

— Możebyśmy pojechali obywatelu? Przejazdźka po lasku dobrze zrobi — słowem ręczę...

— Ty chcesz, bym ci za przejazdźkę płacił?! — wybuchnął pan Stanisław. — Czy ty wiesz, że ja dwa dni nic w ustach nie miałem?!

Dorożkarz zaciął konie i pojechał.

Oprzytomniał Fiszer. Wprawdzie Drzewiecki, nie zauważywszy jego osłabienia, oddalił się o kilka kroków, lecz mógł słyszeć. Chcąc odwrócić podejrzenie, Fiszer przyspieszył kroku i z całym humorem począł mu opowiadać jakąś uciśzną anegdotę.

Drzewiecki słyszał wszystko co do słowa, jednak nie dał poznać po sobie. Zabolało go serce, że dawny towarzysz broni taką nędzę cierpi. Sam nie mógł

mu dopomódz, gdyż również ostatkami gonił. Po powrocie z przechadzki pognał wprost do Kościuszki i w krótkich słowach przedstawił mu nędzę, jaką jego adjutant znosi.

Wzruszył się wielkoduszny Naczelnik. Wydobył z szufladki rulon talarów i wręczył je Drzewieckiemu.

Była ich cała setka.

Drzewiecki potarł czoło.

— Dyabli wiedzą jak mu—je ofiarować to zębata szczuka, a przytem ambitny.

— Nawet odemnie nie przyjmie? — zapytał Kościuszko.

— Nawet od naczelnika.

Rada w radę postanowili odesłać pieniądze przez znajomego aptekarza, jako lekarstwo. W przeciągu kilku godzin pakiet doszedł do rąk Fiszera.

Na drugi dzień pan szef wszedł do mieszkania przyjaciela, lecz ten nie odpowiadając na powitanie krzyknął porywczo:

— Cóż to?! Za żebraka mnie macie? Dziadem nie jestem, od nikogo pomocy nie potrzebuję! Nie prosiłem cię o wsparcie!

Drzewiecki wyparł się wszystkiego jak Piotr Chrystusa.

— Stasiu, brateńku, o niczem nie wiem. Ani mi w myśli powstało obrażać tak zacnego kolegę.

Fiszera ochłonął tymczasem z gniewu i zaproponował Drzewieckiemu, by wraz z nim udał się do szpitala św. Łazarza, gdzie złożą zaofiarowane przez nieznanego dobroczyńcę pieniądze.

— Dobrze brateńku — odparł Drzewiecki, — tylko jedno ale...

— Jakie ale? — burknął Fiszer.

— Czy ty o tem nie wiesz, jak nasza brać żyje? Jeśli sam przyznałeś, że w biedzie jesteś, to wiedz, że jest jeszcze wielu takich! Ot, stary nasz druh, pułkownik Gawroński. W nędzy żyje, kawałka mięsa Bóg wie ile dni nie widział...

— Ależ on nie przyjmie złamanego szeląga! — zawołał Fiszer.

— Spróbujmy.

Weszli do mieszkania Gawrońskiego, dzielnego żołnierza z kościuszkowskich czasów, który podobnie jak Fiszer od dłuższego czasu najokropniejszą nędzę cierpiał.

Fiszer opowiedział mu historię tajemniczego daru i wyraziwszy swoje oburzenie, zaproponował mu przyjęcie przyniesionej sumy.

Gawroński spłonął.

— Słuchaj Fiszer — burknął gniewnie. — Gdybyśmy nie byli starymi towarzyszami, rozprawiłbym się z tobą inaczej! — Prawda — w rzeczy samej jestem w wielkiej potrzebie i przyjąłbym te pieniądze, gdyż jestem przekonany, że zacny jakiś człowiek nam je ofiarował. Lecz jeśli ty uważasz to za osobistą krzywdę i obrazę, to dlaczego mnie krzywdzisz, przypuszczając, że na równi z tobą nędzy nie zniosę?

Fiszer ochłonął i zapytał spokojnym głosem:

— Więc co uczynić z temi pieniędzmi?

— Przełam rulon na połowę — odparł Gawroński — i nie uważaj się za lepszego od innych. Przyjdziemy — da Bóg — do pieniędzy, to się z biedniejszą bracią podzielimy.

— Tak, tak, — wykrzyknął Drzewiecki, — jeśli siły w walce z biedą stargamy — ojczyzna nie będzie miała z nas pożytku.

— Bierz dyabli! — mruknął Fiszer i przełamał rulon na połowę. — Ha — może i słuszność macie.

Szef Drzewiecki rozwarł ramiona i wszyscy trzej przyjaciele padli sobie w objęcia, ściskając się i płacząc na przemiany.

...Takich Polska miała synów —
Takich wodzów sprawa święta...



V.

Wytrwamy!

Zeszli się w mieszkaniu starego wodza. Stawili się wszyscy członkowie deputacyi, która poprzedniego dnia, w sali pałacu luksemburskiego. złożyła dyrektorowi republiki francuskiej, trzydzieści pięć sztandarów, zdobytych na nieprzyjacielu. A więc generał Kniaziewicz, szef Drzewiecki, kapitan Kosecki, Jan Dąbrowski, syn dowódcy legionów i dwaj towarzyszący im grenadyerzy. Po szumnych przyjęciach i ucztach na ich cześć urządanych, na których na zimno zachwycono się męstwem Polaków, przyszli oto na skromny obiad, do swego dawnego Naczelnika, który aż z Ameryki przybył do stolicy Francyi, w nadziei, że zdoła wykołatać pomoc dla Polski.

Szron siwizny ubielił już włosy Naczelnika — na jego twarzy widne ślady cierpień przebytych w petersburskiem więzieniu. Wie stary wódz, że może bez pożytku dla ojczystej sprawy leje się krew polska na italskich polach. Niemało przelało się tej krwi w dniach Szczekocin i Maciejowic i w strasznym dniu rzezi Pragi! Napróżno wszystko, napróżno!... Nie zdołał wywalczyć swobody ojczyźnie — dziś musi żebrać dla niej pomocy u dyrektorów republiki.

Westchnienie wrywa się z piersi wodza „upa-
dłej sprawy“.

Otwierają się drzwi i wchodzi legionieści. Wcho-
dzą, w swych czworograniastych czapach, trójbarwną
kitą ozdobionych, w granatowych mundurach, na ra-
mionach srebrne szlify, przez plecy błyszczące łądo-
wnice przewieszzone. Z rozrzewnieniem, ze łzami
w oczach, witają Kościuszkę.

Na widok bratnich mundurów, na dźwięk ojczy-
stej mowy ożywił się stary wódz. Każdemu głowę
ściskał, do piersi ich tulił, z całą serdecznością go-
ścił ich u swego stołu.

Rzewną była ta skromna uczta i stokroć milszą
od urzędowych bankietów. Zgromadzili się tu sami
swoi, sami tacy, których troska o los ojczystego
kraju do stolicy republiki przywiodła. Rozwiązały się
języki, rozchmurzyły się czoła, jęto wspominać dawne
boje, układać nowe plany, rozważać sytuację polity-
czną.

Pod koniec obiadu, gdy kieliszki winem nalano,
Kościuszkę wyszedł na chwilę do sąsiedniego pokoju
i wrócił niosąc szablę w ręku. Zbliżył się do gene-
rała Kniaziewicza i rzekł:

— Przed kilkoma dniami, rząd francuski ozdo-
bił cię generale szablą honorową. Tę oto szablę otrzy-
łem w darze, od samego monarchy, od króla szwedz-
kiego, z życzeniem, bym raz jeszcze poprowadził
rodaków moich, na boje, za kraj ukochany. Losy nie
dozwołyły mi już stanąć na waszem czele. Oddaję ją
w twoje ręce stary druhu — przyjm ją, na pamiątkę
dnia dzisiejszego. Wy zaś drodzy rodacy — do obe-
cnych zwrócić się — wytrwajcie!... Dziś nie rozsa-

dzajcie, czy źle, czy dobrze czynicie, służąc pod sztandarami Francyi. Tak, czy owak, jeśliście się już ofiarowali służyć sprawie republiki, mimo wszystko wytrwajcie!... Legiony — to twarda szkoła żołnierska — tam zahartuje się i wzmocni duch narodu. Niech dzieje legionów będą jedną z najpiękniejszych kart historii naszej. Kiedyś potomność oceni trudy i poświęcenie wasze i zrozumie, że spełniliście swą powinność, że szliście drogą, którą spodziewaliście się dojść do niepodległej ojczyzny. Niech potomność powie o was, że postępowaliście jak na prawych żołnierzy przystało, że nie żałowaliście krwi własnej, że ustrzeżliście honoru narodowego znaku. Dlatego proszę was — wytrwajcie!...

Legioniści powstali z krzesel.

— Wytrwamy Naczelniku — wołali z zapalem — wytrwamy!...

Kościuszko podniósł nalany kieliszek i ujął dłoń Kniaziewicza.

— W twoje ręce i Dąbrowskiego składam losy tej garści wiernych synów ojczyzny. Obyście doprowadzili ich z bronią w rękę, w tryumfie, pod ojczyste strzechy... Wznoszę toast na cześć legii i jej wodzów, Kniaziewicza i Dąbrowskiego!

Wypił wino i zanucił drgającym ze wzruszenia głosem:

Marsz, marsz Dąbrowski!
Z ziemi włoskiej do Polski...

Kniaziewicz obnażył szablę i wznosił ją w górę.

— Wytrwamy Naczelniku! Nie opuścimy narodowej chorągwi! Imię twe będzie nam tarczą i bodźcem do sławy!

I dotrzykali przyrzeczenia.

Gdy po traktacie lunewilskim, w którym ani słówkiem nie wspomniano o Polakach, niewdzięczna Francya przekształciła legie na półbrygady, a zrozpaczeni oficerowie gromadnie chcieli się podać do dymisyi, generał Kniaziewicz odwiódł ich od tego kroku. Pojechali na spróchniałych i dziurawych okrętach, na San-Domingo, gdzie żółta febra dziesiątkowała ich szeregi, gdzie kazano im walczyć z dobijającymi się wolności murzynami. I tam nawet u murzynów zdołali wzbudzić cześć dla polskiego imienia. I murzyni uszanowali biednych tułaczy. Wódz ich Dessalines, najwaleczniejszą brygadę wojsk swoich nazwał „Polakami“.

Po wypędzeniu Francuzów z San-Domingo, tej wyspy tragedyi, pełnej dantejskich scen, przeważna część wiarusów, poszła w niewolę angielską i przez pięć lat znosiła najsroższe katusze, na oślawionych pontonach.

Za życia przeszli przez piekło, a przecież do-
trwali...



Urządsków Krak. 1. ...
W BYESZOWIE

BIBLIOTEKA

[Arządalków Krak. Twa. Waa] Utworzone

W BRZESZOWIE

VI.

Wierny kapral.

Od dłuższego już czasu oddział szwoleżerów austriackich, dowodzony przez młodego, lecz zuchwałego partyzanta, hrabiego Adama Miera, wieszał się na tyłach i bokach armii francuskiej, urywał jej bagaże i transporty żywności, znosił pomniejszych oddziały, docierał nawet aż do szanów w Kehl, i do rozpaczy niemal doprowadzał dowódców lewego skrzydła armii nadreńskiej, generałów Sain-Souzanne'a i Kniaziewicza, pod których komendą pozostawała także polska legia naddunajska. Nie było pod ręką polskich ułanów, którzy dopiero formowali się w Strassburgu, zaś wysyłane podjazdy kawaleryi francuskiej Mier poprostu lekceważył sobie. Na słabsze uderzał jak grom, z silniejszymi walki nie przyjmował i uchodził bez śladu, by następnego dnia pojawić się znów w tem miejscu, w którem się go nawet nie spodziewano.

— Czart z nim! — rzekł pan generał Kniaziewicz, do szefa sztabu legii, pułkownika Gawrońskiego, — chyba szelma polską krew ma w sobie, że tak gracko podchodzić umie!

— Ba, ba! — odparł pułkownik, — ma je niemało.

— Jakto, więc on Polak, do miliona karabinów?!

— Polak — objaśniał pułkownik, — nieboszczyka kasztelana inflanckiego, Jana Miera, rodzoniusieńki syn.

— Łotr z pod ciemnej gwiazdy! — wybuchnął generał, — Polak, a „białasom“ służy?! Skończyć z nim musimy! Słyszycie waćpanowie?! — do oficerów się zwrócił.

Oficerowie w milczeniu salutowali wodza.

Tegoż dnia jeszcze doniesiono generałowi, że Mier wpadł na przedmieście w Kehl i pochwycił patrol, złożony z dwudziestu legionistów.

Miarka cierpliwości generała wyczerpała się w zupełności. Zawezwał majora Fiszera, szefa drugiego batalionu legii i zalecił mu skończyć sprawę z zuchwałym przeciwnikiem.

— Przydam ci szwadron dragonów francuskich — zakonkludował generał. — Staraj się zatem zmusić Miera do przyjęcia bitwy, a z pewnością nie dotrzyma placu naszym wiarusom.

Nazajutrz rano batalion Fiszera opuścił warowne okopy i wraz z przydanymi mu dragonami ruszył w kierunku Altenburga.

Pan Stanisław Fiszer, stary, wytrawny żołnierz, co jeszcze za rewolucyi Naczelnikowi adjutantował, na widok młodziutkich Francuzików, siedzących na ogromnych koniach, głową pokręcił.

— Nie zdzierzą oni szwoleżerom — mruknął półgłosem.

Idący w pierwszym szeregu, grenadyerskiej kompanii, kapral Trandowski, dosłyszał słowa szefa batalionu.

— Nie zdzierzą panie majorze — powtórzył z przekonaniem.

— Cóż, kazali! — rzucił major przez zęby.

— Rozkaz rozkazem.

Czerwcowe słońko zapalało iskry na ostrzach bagnatów i przypiekało coraz mocniej, wiatr zerwał się i poniósł tumany kurzu wprost w oczy naszym legionistom, a niemal równocześnie rozległo się kilka wystrzałów pistoletowych i tentent jazdy pędzącej po gościńcu.

Major poprawił się w siodle.

— Oho, „białasy“! Mamy ich już na karku. Wiarusy bacność! Gotój broń!...

.

W dwa dni później dano znać generałowi Kniaziewiczowi, że batalion Fiszera powrócił z wyprawy i czeka na rozkazy.

Generał zerwał się od stołu i wypadł na ulicę, gdzie w ściśniętej kolumnie uszykował się batalion, stojący z bronią na ramieniu.

— Prezentuj broń! — zabrzmiał głos komendy.

Kniaziewicz machnął ręką.

— Nie potrzeba! Do nogi broń! Gdzie major Fiszer?

Kapitan Sierawski wysunął się przed front batalionu.

— Melduję posłusznie panie generale, w niewoli u Austryaków.

Kniaziewicz zerwał kapelusz generalski z głowy i cisnął nim o ziemię.

— Co, co, w niewoli?! — wrzasnął na całe gardło, — i wy daliście wziąć swego szefa?! Wstyd, hańba!

Żołnierze oczy spuścili w ziemię.

— Gadaj waćpan jak to było?

Sierawski westchnął.

— Źle się stało panie generale. W samo południe zetknęliśmy się z Mierem, lecz ten jak tylko zmiarkował, że z nami ma do czynienia, dał nura. Ruszyliśmy w dalszą drogę do Altenburga, lecz Mier porzysłał swoich szwoleżerów na wsze strony i zawiadomił stojące po drodze oddziały austriackie o grożącym mu niebezpieczeństwie. Szczwany to lis panie generale — już następnego dnia połapaliśmy się, że Austriacy nas obsaczają, a Mier przebiera się na nasze tyły, by odciąć nam odwrót do Kehl.

Generał potarł czoło.

— Frant z niego, frant! — rzekł jakby do siebie.

— Otoczyli nas ze wszech stron, — ciągnął kapitan dalej, — major sformował czworobok i ruszyliśmy przebojem, z powrotem do obozu. Nie żałowaliśmy ni kolb, ni bagnetów, praliśmy co się zmieściło. Dragoni zaraz przy pierwszym starciu poczęli się mięszać — major skoczył ku nim, by ich powstrzymać, a te chmyzy w nogi. I przy tej okazji szwoleżery majora ucapili. Prózne były nasze usiłowania — nie zdołaliśmy go odbić.

Kniaziewicz poczerwieniał.

— Dziady, niedołągi! — rzucił przez ściśnięte zęby. — Precz mi z oczu! W tył zwrot!

Głucho zachrząszczały karabiny, żołnierze w ponurem milczeniu wrócili do swych kwater.

Strata majora Fiszera, najdzielniejszego organizatora legionów, była wprost niepowetowaną. Wprawdzie powiadano, że w sztabie austriackim chciano go uwolnić, pod warunkiem, iż major da słowo, że w tej kampanii, broni przeciw Austryi nie podniesie, lecz harda odpowiedź, jaką dał Fiszer sztabowcom, zdecydowała wywiezienie go, w charakterze więźnia stanu do Czech. Żołnierze drugiego batalionu byli przedmiotem drwin całej legii. Zarzucano im, że nie byli w stanie obronić swego szefa.

— Żółtodzioby, szczygły! — wołano za nimi.

Najbardziej bolał nad tem kapral Trandowski i całymi dniami przemyślał nad sposobem uwolnienia szefa. Tymczasem biegł tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, szły bitwy jedna po drugiej, a batalion któremu w zastępstwie przewodzili to Sokolnicki, to Sierawski, dalej pozostawał bez szefa.

— Zdechnąć nam przyjdzie — mawiał stary wiarus.

Aż sposobność przyszła.

W kilka miesięcy później, armia francuska, dowodzona przez generała, Moreau, przeszła rzekę Inn, a legionieści przydzieleni do korpusu generała Lecourbe'a, tworzącego straż przednią, starli się z Austryakami pod Salzburgiem, torując drogę Francuzom wśród przejścia, wykutego w skałach, a bronionego przez liczną piechotę i artylerję. Wśród gradu kul, legionieści nie odpowiadając na strzały, biegli ku ukrytym za załomem góry armatom. Bębny biły krok podwójny, w stanowczej chwili rozległa się komenda:

— Na bagnety!

Legioniści wpadli na armay i wykłuwszy kano-
nierów, wzięli je w okamnięgnienu — nieprzyjaciel
w popłochu uchodził drogą ku Salzburgowi. Za nim
biegli legioniści wiedzeni przez Kniaziewicza i spu-
ściwszy się w dolinę, zdobyli most na rzece, zanim
Austriacy zdążyli pospieszyć w pomoc swoim, bro-
niącym przeprawy. Za mostem walka zawrzała na
nowo. Nietknięta jeszcze brygada księcia Lichtensteina,
zastąpiła drogę naszym legionistom. Księżę Lichten-
stein, otoczony kilkoma sztabowcami, stał na wzgórzu
i kierował akcją bojową.

Z wywieszonym językiem biegł zziajany kapral
Trandowski. Przed wzgórzem zatrzymano naszych
wiarusów.

— Stać, stać! — zakrzyknął Sierawski — austrya-
cki sztab przed nami! Za wzgórzem muszą być zna-
czne siły nieprzyjacielskie!

Trandowski spojrział ku wzgórzcu i zauważył ka-
piącego od złota księcia-generała.

— Znaczny oficer — rzekł do kapitana, — obsta-
nie on za naszego szefa?

— Czego ty chcesz właściwie? — zapytał Sie-
rawski.

Kapral splunął w dłonie.

— Albo on mój, albo mnie śmierć pisana! —
odparł z zawziętością.

To rzekłszy, cisnął karabin o ziemię i chył-
kiem, krzakami, pobiegł ku wzgórzcu.

— Stój waryacie! — wrzasnął kapitan.

Lecz kapral znikł już w pobliskich krzakach.

Książę Lichtenstein ciekawie przyglądał się stojącym u stóp wzgórza legionistom. Dzielili ich przestrzeń jakich trzystu kroków. Lada chwila bój miał się rozpocząć — austriaccy sztabowcy zawrócili już konie, by odjechać z niebezpiecznego stanowiska, gdy o kilka kroków przed nimi wypełzła postać bezbronego legionisty.

Książę wziął go za dezertera i zwrócił się ku niemu, lecz w tej chwili wiarus przyskoczył, chwycił go wpół i ściągnął z konia.

Sztabowcy wydali okrzyk przerażenia; rzucili się ku niemu, lecz Trandowski nie zwlekając, zarzucił księcia sobie na plecy i piorunem stoczył się ze wzgórza.

Strzelać za nim nie śmiano, gdyż był osłonięty ciałem księcia — w niemej rozpaczycy spoglądali Austriacy jak nieustraszony wiarus pomykał ku swoim.

W poszarpanym krzakami mundurze, z pokrwawioną twarzą i podrapanymi rękami, lecz z tryumfującą miną stanął przed generałem Kniaziewiczem i rzucił mu pod nogi przerażonego księcia.

— On mój! — rzekł stanowczo, — nie puszcze go z rąk, dopóki nam szefa nie zwróci!

Nadjechał generał Moreau, i cały sztab francuski. Otoczono dzielnego kaprała, składano mu powinszowania, lecz gdy chciano odebrać jeńca, żołnierz stanął okoniem.

— Nie dam go, chociażby mi worek złota nasypali!

Niemal cały batalion stanął po stronie Trandowskiego. Wzięli jeńca w środek i otoczyli go murem bagnatów.

Moreau śmiał się na całe gardło.

— No, zuchy! I poradź co z takimi! Dobrze więc, niech księżę zostanie pod waszą opieką! Ręczę wam słowem, że nie wymienimy go za nikogo innego, jeno za waszego majora!

Trandowski strzegł księcia jak oka w głowie. Wymiana szybko nastąpiła. W Steyer podpisano chwilowy rozejm, a w miesiąc później major Fiszer stanął przed szeregami swego batalionu.

Przywitał go gromki, wesoły okrzyk.

Kapitan Sierawski huknął na cały głos:

— Kapral Trandowski!

Żołnierz wyszedł z szeregu i stanął o trzy kroki przed majorem, wyprostowany, lecz zarazem drżący ze wzruszenia.

Bębny warknęły — major podniósł rękę do kaska i patrząc kapralowi prosto w oczy, salutował go dłuższą chwilę.

Sierawski zwrócił się ku szeregom.

— Batalion baczność! W podziękę koledze Trandowskiemu — prezentuj broń!

Major podszedł ku wyprężonemu kapralowi i chwyciwszy dłoń jego ścisnął ją gorąco...

Urządsków Krak. Twa. ...
BZESZOWA

BIBLIOTEKA
Urzedników Krak. Twa. Wzaj. Ubezpiecz.
w RZESZOWIE

VII.

Nad Trebią,

Wśród ustawicznych utarczek z toskańskimi powstańcami, dążył Dąbrowski na czele legii, celem połączenia się z armią generała Macdonalda. Po zwyciężonych bitwach pod Cortoną, Arrezzo, Aretino i Ullą, dotarli legioniści do Reggio, gdzie tegoż jeszcze dnia nadciągnęła armia francuska.

Generał Macdonald przybył na plac krwawych walk zaledwie przed kilkoma dniami. Byłto wódz dzielny, doświadczony, więc natychmiast zorientował się w sytuacji. Błędy poczynione przez jego poprzedników, dowodzących naczelnie we Włoszech, ukazały się teraz w całej pełni. Armia Macdonalda, tak zwana neapolitańska, jakoteż armia włoska, nad którą po niedołącznym Schererze otrzymał dowództwo generał Moreau, były zdeorganizowane i zniechęcone, podstawa do działania niezabezpieczona. Moreau, nie był w stanie stawić skutecznego oporu wkraczającym wojskom cesarskim, które prowadził feldmarszałek Melas, posiłkowany przez dzikiego i okrutnego Suwarowa. Z szybkością lawiny zeszli Austriacy i Rosyanie z wyżyn alpejskich i po uporczywym boju pod Cassano, w którym Moreau stracił znaczną część sił

swoich, zajęli Medyolan, zaś po krwawej rozprawie pod Marcugo i Turyn otworzył bramy zwycięzcom.

W Piacencyi miało nastąpić połączenie się obu armii francuskich, lecz jakież rozczarowanie spotkało Macdonalda, gdy przybywszy tam, zastał jedną brygadę z armii generała Moreeu, którą tenże wysłał w dolinę Trebii, lękając się o utratę Genui. Tymczasem wódz carski dowiedziawszy się o przejściu Macdonalda przez góry apenińskie, forsownymi marszami podążał na jego spotkanie.

17. czerwca 1799 roku, na wzgórzach nad Trebią, ukazały się zastępy nieprzyjacielskie, które niemal dwukrotnie przewyższały armię francusko-polską. Mimo tej przewagi Macdonald postanowił stoczyć bitwę i wydał rozkaz przejścia przez rzekę. Dywizya generała Rusca, a za nią legioniści ruszyli pierwsi. Nieatakowani doszli Francuzi do Tidony, lecz w chwili gdy zamierzali przepłynąć się przez tę rzeczkę, rozpoczął się rześisty ogień tyralierski, a Rosyanie wśród okrzyków ruszyli na spotkanie przeciwnika, usiłując obejść jego skrzydła.

Chwalebny ten zamiar nie powiódł się w zupełności. Dąbrowski pchnął jeden batalion piechoty polskiej i kilka szwadronów kawalerji francuskiej na lewo, a dowodzący tym oddziałem szef Brunn natarł na Rosyan tak szybko, że ci cofnęli się czempredzej ku Cantone i Arcello. Równocześnie dywizya generała Victor'a zmusiła awangardę rosyjską do odwrotu w kierunku Saint-Giovani.

Lecz Suwarów wyprowadził odrazu wszystkie swe siły i uderzył z taką gwałtownością, że Francuzi

musieli rejterować za Tidonę i oparli się aż nad brzegiem Trebii. Legioniści niemal nie brali udziału w walkach tego dnia toczonych. Jeden tylko batalion strzelecki, dowodzący przez majora Jasińskiego, został odcięty na lewem skrzydle rzeki. Otoczeni ze wszecb stron strzelcy bronili się tak długo, dopóki starczyło im nabojów w ładownicach, w końcu nie widząc żadnego ratunku, poddali się Austryakom. Noc przerwała krwawe zapasy — Francuzi cofnęli się na prawy brzeg Trebii.

Nazajutrz o świcie Macdonald dał hasło do ponownego boju. Legia przeszła Trebię i zajęła miejscowości Cassalicio, Tuna i Gazzolo, stając na lewem skrzydle armii, dowodzonem przez generała Victora. Generał Dąbrowski osobiście przybył do Tunu, gdzie w zaroślach winnic sformowali się strzelcy, grenadyerzy i trzeci batalion legii, pod komendą brygadyera Forestier'a. Przybył w samą porę, bo w tej chwili cała armia rosyjsko-austriacka uderzyła na pozycye przez Polaków zajmowane.

Bój zacięty zaważał na wszystkich punktach. Suwarów atakował całą swą potęgą i spędził oddziały francusko-polskie zajmujące winnice. Szef Brunn usiłował przyjść z pomocą Dąbrowskiemu i starał się dotrzeć do Tuna, lecz party przeważnemi siłami, był zmuszony cofnąć się ku górom. W uajwiększem niebezpieczeństwie znalazła się siedmnasta francuska półbrygada, którą Rosyanie obkoczyli ze wszecb stron usiłując zmusić ją do złożenia broni.

Dąbrowski rozpoczął odwrót ku Cassalicio i odcinając się następującym nań Austryakom, zbliżył się ku Trebii, gdzie otoczeni Francuzi walczyli z bezprzykładnem męstwem. Poraz pierwszy w tym dniu ujrzeli

Polacy sałdatów rosyjskich w tak bliskiej odległości.

Płomień strzelił z oczu wodza legionów. Szablą wskazał swoim rosyjskie szeregi.

— Widzicie?! — krzyknął donośnym głosem — Suwarowa korpus przed nami! To ci sami, którzy na Pradze dzieci i kobiety rżnęli!

Brwi żołnierzy ściągnęły się, jaki taki w dłoń splunął. Chmurnem okiem spojrzeli w stronę Rosyan.

— Zapłacimy im, takim synom! — przeszedł groźny pomruk po szeregach.

Zagrały bębny, legioniści bez słowa — z zaciśniętymi zębami, z pochylonym bagnetem, ruszyli do ataku.

Siedmnasta półbrygada dyszy już ostatkami sił. Republikańscy żołnierze bronią się jak lwy, na każdy wystrzał odpowiadają wystrzałem, na każde pchnięcie pchnięciem. Lecz mimo ich waleczności, żelazny pierścień bagnetów rosyjskich zaciska się coraz bardziej. Zbija ich w kłęb, w którym stal żłobi krwawą bruzdy. Napróżno kapitan Castel, komendant grenadyerskiego batalionu, usiłuje rozpaczliwym atakiem ułatwić przejście swoim — poczwórny rząd stalowych żądał osadza go na miejscu.

— Za Maciejowice, za Pragę, za Warszawę! Bij! — rozlega się po całym polu stentorowy głos Dąbrowskiego.

Jak stado dzikich, rozbestwionych zwierząt, wpadają legioniści na zastępy Suwarowa. Grzmia z góry w łby wraże kolbami, bagnetami, szpadami, a kto broń postradał, ten toruje sobie krwawą ścieżkę, pieścią, pazurami, śmiertelną nienawiścią swoją. Nikt z le-

gionistów nie pyta o rozkazy, nikt nie ogląda się na oficerów — każdy z nich wie, że mają przed sobą te same pułki, które przed pięcioma latami dwadzieścia tysięcy niewinnego ludu, na Pradze, w pień wycięły.

— Niema dla nich pardonu! — woła szef Forestier. — Bić wiara, bez litości!

Żołnierze Suwarowa poznali z kim mają do czynienia. Poznali rogate kaski, poznali granat manduru i amarantowe wyłogi, poznali twardość mazurskiej pięści. Wiedzą co ich czeka — wiedzą, że nie pozostaje im nic innego, tylko życie jak najdrożej sprzedać.

Batalion kapitana Castel pierwszy wydobywa się ze śmiertelnych splotów i idzie legionistom z pomocą. Grenadyerzy francuscy wznoszą burzliwe okrzyki na cześć Dąbrowskiego.

— *Merci mon general!* — wykrzykuje Castel — dziękujemy!

Rosyanie zwierają się w czworoboki i ustępują ku wzgórzom. Legioniści walą na nich z bezprzykładną zapamiętałością, rozrywają czworoboki bagneta-mi, gniotą jak robactwo, wystrzałami kładą tych, których bagnet dosięgnąć nie może. Wreszcie sądaci rozbici na gromadki, rzucają broń i w popłochu uchodzą ku swoim.

Lecz Suwarów i Melas wyprowadzają nowe pułki i rzucają je w bój. Olbrzymia ta masa rozlewa się po całym polu, buszuje w winnicach, wypiera poszczególne oddziały polskie i francuskie. Generał Victor nakazuje odwrót na lewy brzeg Trebii.

Przeciwko ogromnej przewadze nieprzyjaciela, w opłotkach Cassaliccio, bronią się grenadyerzy i trze-

ci batalion legii, Otacza ich takie mrowie, że w ścisku nie są nawet w stanie kłuć bagnietami. Szef legii Forestier, szefowie batalionów Małachowski i Zawadzki, oraz stu kilkudziesięciu żołnierzy wpadają w ręce nieprzyjaciela. Reszta cofa się na drugi batalion, którego komendant, szef Chłopicki, rotowym ogniem, o trzydzieści kroków, odpiera rosyjską nawałę.

Dąbrowski, na wiadomość o wzięciu do niewoli Forestier'a, pędzi ku Cassaliccio, by zebrać bataliony i odbić swego ulubieńca. Ułani legii i piechota pędzą w ślady wodza, który w uniesieniu wyprzedził ich o jakie sto kroków. Naraz, jak z pod ziemi, zjawia się chmara kozaków i dragonów austriackich i obskakuje Dąbrowskiego ze wszech stron.

— Ratuście wodza! — krzyczy adjutant Stuart rozpaczliwym głosem.

Garść ułanów zrywa się jak burza i wpada na kozaków. Na ich czele Biernacki, Petrykowski i Stuart. Piersiami końskimi otwierają sobie drogę, wieńcem szabel osłaniają wodza i znów rąbią ulicę z powrotem. Czerń kozacka ściga ich zajadle, jeden sięgnął szaszką i ciął Dąbrowskiego w ramię, drugi strzałem z pistoletu zranił kapitana Stuarda, trzeci zabiega im drogę i spisę kieruje w piersi wodza, z okrzykiem:

— *Zdawaj'sia!*

Pan Dąbrowski szablą płątnął i spisa wraz z ręką kozaka odleciała o kilka kroków. Wspięli konie ostrogami i rzuciwszy się w fale Trebii, przepłynęli na drugą stronę.

Victor i Dąbrowski ponownie szykują swe dziesiątkowane bataliony i ustawiają je wzdłuż brzegów Trebii, by wzbronić przejścia nieprzyjacielowi. Z obu

stron idzie żwawy ogień armatni i karabinowy — napróżno Rosyanie i Austryacy usiłują sforsować przejście przez rzekę. Każdy ich atak odparty, każdy manewr zdemaskowany.

Noc rozpościera cienie nad falami Trebii i nad pobojuwiskiem, z którego dochodzą jęki rannych i konających. Z obu stron rzeki płoną nieliczne ogniska, większość żołnierzy wyrzeka się jedzenia, wyczerpani dwudniowymi zapasami, padają na krwią przesiąkniętą ziemię i zasypiają kamiennym snem. Lecz wodzom spać nie wolno. — Macdonald zwołuje radę wojenną. Przychodzą generałowie Victor, Rusca, Dąbrowski, Kalwin, Charpentier, zasiadają przy ognisku i w milczeniu spoglądają na lewy brzeg Trebii, gdzie widać ognie biwaków nieprzyjacielskich.

— Ciężkie ponieśliśmy straty — mówi Macdonald, — lecz nie ustąpimy. Jutro nadciągnie Moreau, weźmiemy ich we dwa ognie.

— Nie ustąpimy! — rzuca Dąbrowski twardo.

— Nie ustąpimy! — powtarza generał Victor.

— Lewe skrzydło walczyło po bohatersku — ciągnie Macdonald dalej. — Generale Victor dziękuję! Generale Dąbrowski, legioniści polscy walczyli jak Spartanie — widziałem ich w ataku, szli z furją strażaków. Doniosę dyrektoryatowi o szczególnych zasługach pana i pańskich ziomków.

Uścisnął dłoń Dąbrowskiego i otulił się płaszczem.

— Dobranoc koledzy — rzekł ziewając, — jestem zmęczony jak koń armatni. Linie bojową lewego skrzydła wzmocnić należy. Spać, spać za każdą cenę...

Rzucił się na ziemię i za chwilę usnął prawdziwie żołnierskim snem.

O pierwszym brzasku Macdonald postawił armię na nogi i mimo gęstej palby armatniej przerzucił ją na lewy brzeg rzeki. Znow rozpoczęły się zajadłe, iście homeryczne zapasy, znow śmierć zebrała obfite żniwo. Lecz próżne były wysiłki Francuzów i ich wodza, napróżno legia dysząc zemstą ku Suwarowowi, szła w ogień z odwagą szaleńców. Pod Dąbrowskim dwa konie ubito, major Konopka został ciężko rannym — Macdonald z rozpaczą nadsłuchiwał, czy na tyłach nieprzyjaciela nie odezwą się armaty armii Moreau. Suwarów niemal wszystkie swe rezerwy rzucił w ogień i nacierał coraz zapamiętalej. Moreau nie przybywał — ku wieczorowi Macdonald dał rozkaz do odwrotu na całej linii.

Lecz sprzymierzeni ponieśli daleko większe straty i tego dnia nie odważyli się ścigać armię Macdonalda. Dopiero na drugi dzień przednia straż Suwarowa przeszła Trebię i zaatakowała idącą w aryergardzie dywizję Victor'a, usiłując odciąć ją od głównej armii. Victor nakazał odwrót ku Cadeo i Fiorenzuola.

Obciążona bagażami i pociągami całej armii, oraz mnóstwem dział, szła dywizya przez górskie, niewygodne drogi. Legioniści własną piersią zasłaniali ten odwrót. Znużeni trzydniowymi bojami, przebywając liczne płoty i rowy, cofali się zwolna, krok za krokiem, wytrzymując straszliwy ogień nieprzyjacielski i narażając się na odcięcie od korpusu.

Dochodząc do Fiorenzuola, stanęli wiaruszy raz jeszcze twarzą do nieprzyjaciela, który w licznych

kolumnach ukazał się na wysokości wioski Cadeo. Dąbrowski, na czele pierwszego batalionu uderzył bagnetem na jegrów rosyjskich, usiłujących opanować furgony. Zapadała noc, lecz bój nie ustawał — we wsi z kilku chałup strzeliły słupy ognia.

Przy blasku pożogi wrzała bitwa straszna, zacięta, na śmierć lub życie. Tu niema pardonu, bo to walczą legioniści z pułkami Suwarowa. Dżgają się bagnetami, rozstrzaskują kolby karabinów o własne głowy, mordują się z zaciekłością tygrysów.

Przed nawałą jegrów cofa się garść wiarusów, jegry z okrzykiem tryumfu pędzą ku grzęznącym w opłotkach armatom. Widzi to wódz legionów — z szablą w ręku rzuca się w tłum jegrów, chcąc własnym przykładem zachęcić swych żołnierzy.

— Za mną wiara!

Jegry poznali wodza.

— *Dombrowskij, Dombrowskij!* — wrzasnął jakiś oficer, — *bieritie jewo!*

Kilkudziesięciu żołdatów skoczyło ku niemu. Jeden chwycił za uzdę konia generała, inni usiłowali broń wydrzeć mu z ręki.

Serca legionistów ścisnęły się trwogą i rozpaczą. Zguba wodza zdawała się nieuchronną — legia była odeń przedzieloną całym wałem żywych ciał ludzkich.

Naraz z boku ukazują się czerwone kity grenadyerów francuskich i rozbrzmiewa potężny okrzyk:

— *A bas, les Russiens!*

To grenadyerzy kapitana Castel, najdzielniejszy batalion z całej armii neapolitańskiej.

Otoczający Dąbrowskiego jegry, padają jak gromem rażeni, reszta cofa się w dzikim popłochu.

Dzielni grenadyerzy otaczają Dąbrowskiego i roztrącając bagnetem, tu i ówdzie wałęsające się kupy nieprzyjaciół, zdążają ku legionistom.

Legioniści biegną na ich spotkanie.

— Gdzie nasz wódz, gdzie wódz?! — pytają strwożone głosy.

— Jest, jest! — odpowiadają grenadyerzy, — odbiliśmy go z rąk wroga!

Legioniści kaskę zdejmują z głów, nakładają na bagnety i wnoszą je w górę.

— Niech żyje Francya! Niech żyją grenadyerzy!

Grenadyerzy stają i również odkrywają głowy, kapitan Castel szpadą salutuje Dąbrowskiego.

— *Vive la Pologne!* — wołają z zapalem.

Dąbrowski zsiada z konia i z odkrytą głową staje przed frontem grenadyerskiego batalionu.

— Dziękuję wam grenadyerzy! Niech żyje siedemnasta półbrygada!

Kapitan Castel wychodzi z szeregu i mówi z uśmiechem:

— Niema za co dziękować generale. To *re-vanche* za dzień przedwczorajszy!



VIII.

Na bosaka.

Generał Kniaziewicz otrzymawszy od rządu francuskiego polecenie sformowania legii naddunajskiej, czemprowadził wyprawił majorów Fiszera i Drzewieckiego do Falzburga, gdzie gromadzili się pierwsi ochotnicy. Zastano tu już spory zastęp i starych żołnierzy i nowozaciężnych. Najwięcej przybyło z Wielkopolski, następnie zwycięstwo Masseny odniesione pod Zurychem, nad połączonemi siłami austriacko-rosyjskiemi, dostarczyło legionowi znaczną ilość ochotników, przeważnie z jeńców małoruskich, należących do korpusu Korsakowa. Podążyli też gromadnie jeńcy galicyjscy, z armii austriackiej arcyksięcia Karola, działającej w Palatynacie. Z końcem października legia liczyła przeszło dwa tysiące żołnierzy. Major Fiszera zajął się sprawami administracyjnymi legii, zaś dozór koszar i uczenie musztry przypadło w udziale Drzewieckiemu. Nadto uczono legionistów regulaminu i służby polowej, według zasad przyjętych w armii francuskiej. Dzień cały upływał na nauce ćwiczenia bronią, wieczorami starsi oficerowie wykładali teorię. Wszystko szło naprzód rączym krokiem, dokuczał jedynie brak odzieży i obuwia. Brak ten był

tak dotkliwy, że niektórzy legioniści chcąc wyjść z koszar, okrywali się kołdrami.

Poczcivi mieszczanie falcburscy, widząc tę straszliwą nędzę panującą między naszymi wiarusami, starali się zaradzić jej według możliwości. Znoszono do koszar starą odzież i obuwie, jednak te dorywcze ofiary nie były w możliwości zaradzenia i części potrzeb. Nic dziwnego, że w szeregi wkradło się zniechęcenie, że szef Drzewiecki kłął od rana do wieczora i rząd francuski i komisję mundurową.

Naraz przywieziono do Falzburga kilkadziesiąt pak z mundurem i obuwem, a równocześnie przyszedł dla legii rozkaz natychmiastowego wymarszu do Metzu.

Jedno i drugie przyjęto z ogromną radością, lecz jakież było zdziwienie obu szefów, gdy po odbiciu pak okazało się, że miast sukiennych mundurów nadesłano lekkie kurteczki, płócienne pantaloney i nieco trzewików.

— Zakpili z nas panowie Francuzi. Bodaj ich wszyscy dyabli! — zaklął szef Drzewiecki. — Taż to zima mospanie!

— Bali się, by nam za gorąco nie było, — dodał obok stojący kapitan Szerszeniewicz.

Obliczono nadesłane efekta, rozdzielono między wiarę — cóż kiedy zaledwie dla dwóch trzecich części wystarczyło.

— Jakżesz wyprowadzimy do Metzu tych biedaków? — zagadnął Fiszer.

— Trudno — odrzekł Drzewiecki, — rozkaz rozkazem, pójdziemy choćby na bosaka.

W dniu wymarszu mróz chwycił siarczysty, mimo to legia stanęła w szeregach, oczekując przybycia szefa. Wreszcie Drzewiecki stanął przed frontem, wy dobył szablę z pochwy i zakomenderował:

— Wiarusy baczość! Marsz, marsz!

Lecz żołnierze nie ruszyli się z miejsca. W szeregach rozległ się cichy szmer, poczem kilkaset głosów zagrzmiało chórem:

— Nie pójdziemy panie szefie! My bos!

Drzewiecki przyskoczył ku najbliższemu.

— Co to, bunt?! Odmawiacie posłuszeństwa?!
— huknął groźnie.

Z szeregu wystąpił jeden żołnierz i stanął przed szefem.

— To nie bunt panie szefie — wyrzekł śmiałym głosem, — lecz my bos i zziębnięci do szpiku kości.

Żołnierze poczęli wychodzić z szeregów i pokazywać obrzękłe z mrozu nogi, pozbawione wszelkiego okrycia. Niektórzy mieli jakie takie trzewiki, drudzy owinęli nogi gałganami, inni wystąpili całkiem boso.

— Biedacy! — szepnął szef rozrzewniony.

Gniew jego na widok tej niedoli znikł bez śladu.

— Na miejsca wiarusy! — rzekł po chwili. — Wiedzicie, robiłem co mogłem, starałem się o wszystko, lecz trudno — nie przystali. Do Metz pójść musimy, taki rozkaz. Tam dostaniemy broń, na którą tak długo czekamy, a z nią pójdziemy na wroga i na przebój do kraju. Cóż to? — krzyknął na cały głos, — czyż Ojczyzna ma nam zarzucać, że legia naddunajska nie chciała dlatego po broń pójść, że butów nie mia-

ła?! Czyż nie stać nas na to, by pójść po tę broń choćby na bosaka?!

Spojrzał bystro po szeregach. Żołnierze stali jak wryci, zasłuchani w słowa szefa.

Drzewiecki dojrzał w drugim szeregu bosego legionistę. Był to młodziutki, najwyżej siedmnastoletni wyrostek, wąły i blade. Biedaczysko trząśł się literalnie z zimna, ale oczy gorzały mu zapałem i wzruszeniem. Z zapartym oddechem wsłuchiwał się w przemówienie szefa.

Drzewiecki skinął nań ręką.

— Wystąp!

Chłopak wyszedł przed front.

— Jak się nazywasz? — zapytał szef.

— Stefan Jański panie szefie.

— Skąd rodem?

— Z pod Kalisza panie szefie.

— Nie masz butów chłopcze. Zdechlak jesteś, nie dojdiesz do Metzu. Masz, ubieraj!

To rzekłszy szef usiadł na pobliskim kamieniu i zdjawszy własne trzewiki, rzucił je młodemu legionście.

— Ależ panie szefie — wyjąkał strwożony i zażenowany chłopak.

— Żadne ale! Milczeć, nie rezonować! Ubieraj!

Chłopak w milczeniu wykonał rozkaz.

Drzewiecki bosy, z dobytą szablą w rękę stanął przed szeregami legii.

— Wiarusy, kto Matkę kocha ten pójdzie za mną i boso! Kto nie chce niech zostaje! Idziemy po broń do Metzu!

— Idziemy wszyscy! — wrzaśnięto w szeregach — Hurra! Niech żyje Drzewiecki!

Szef machnął szablą w stronę muzyki.

— Muzyka graj! Dąbrowskiego!... Maarsz maarsz!

I ciekawe widowisko mieli mieszkańcy Falzburga. Na czele pochodu, przy odgłosie marsza Dąbrowskiego, po straszliwej grudzie, szedł boso szef Drzewiecki, a za nim czwórkami waliła legia. Szli bosy, źle odziani, jednak z rozjaśnionymi twarzami, rozśpiewani, radośni...

A pieśń huczała jak grom.



BIBLIOTEKA
Urzędników Krak. Twa. Wzaj. Ubezpieczon
w RZESZOWIE

Na San-Domingo.

O samym świcie, kazał generał Quentin, wystąpić pod broń całej załodze, stanowiącej garnizon miasteczka St. Marc, na San Domingo. Fakt ten nie zadziwił nikogo, wiedzano bowiem, że Dessalines, wódz zbuntowanych murzynów, zbliża się w te strony. Załoga, której część stanowił także batalion piechoty polskiej, należący do setnej trzynastej półbrygady, uszykowała się w rynku, oczekując przybycia generała. Wprost nich ustawił się dwunasty batalion wojsk kolonialnych, złożony z samych murzynów.

Równy ze wschodem słońca zjawił się na placu generał Quentin, w otoczeniu kilku wyższych oficerów. Rzucił okiem kędy łyskały bagnety murzynów i ruszył koniem w ich stronę. Staął przed frontem batalionu i zakomenderował donośnym głosem:

— W kozły broń!

Rozkaz był w mgnieniu oka wykonany.

— Na środek! Marsz, marsz! — zabrzmiała komenda po raz wtóry.

Murzyni, bez broni, ruszyli na środek rynku, a w tej samej chwili piechota francuska stojąca za nimi opanowała złożone przez nich karabiny.

— Stój!

Batalion stanął jak wryty. Ten i ów z murzynów spojrzął po za siebie i ujrzął, że broń znikła. Złe przecucie ich ogarnęło, czarne twarze pobladły. Stali oto wśród rynku, bezbronni, otoczeni zewsząd licznymi zastępami wojska.

Quentin minął ich i zatrzymał się przed szeregami polskiej piechoty.

— Panie majorze!

Major Wierzbicki, komendant polskiego batalionu zasalutował szpadą.

— Na rozkazy generała!

Generał wskazał ręką stojących w pobliżu murzynów.

— To są zdrajcy — rzekł. — Dziś w nocy doniesiono mi, że oni wszyscy umówili się, z chwilą nadejścia powstańców przejść na ich stronę i uderzyć na nasze tyły. Upredziłem ich. Stoją w tej chwili bezbronni. Każ majorze swoim ludziom otoczyć zdrajców ze wszech stron i wykłuć bagnietami.

Wierzbicki wzdrygnął się cały.

— Ależ generale — wyjąkał — to straszne!... Jakto? mordować bezbronych?... Nie — to chyba żart!...

Oczy Quentina błysnęły ponuro.

— Nie rozumię żartów w czasie wojny! Raz jeszcze powtarzam rozkaz!

Kapitan Królikiewicz i porucznik Mikłaszewski przyskoczyli do trzęsącego się z oburzenia majora.

— Nie majorze! — krzyknęli równocześnie, — ani my, ani żołnierze nasi nie będziemy katami!

Wierzbicki odzyskał już równowagę.

— Panie generale — wyrzekł stanowczym głosem, — oświadczam kategorycznie, że nie wykonamy takiego rozkazu. Zostaliśmy tu przysłani przez pierwszego konsula dla obrony Francyi, ale nie dla wykonywania egzekucyi na bezbronnych!

— *Sacrebleu!* — generał uśmiechnął się demonicznie, — jesteście za szlachetni jak widzę. No nic, wszystko jedno, zrobią to Francuzi.

Zwrócił się ku batalionowi francuskiej piechoty, dowodzonemu przez podpułkownika Verniera.

— Chłopczy, *en avant!* Wykłuć mi do nogi tych czarnych dyabłów, którzy nas zdradzić zamierzają! Do ataku broń!

Równocześnie rozległ się basowy głos majora.

— Batalion baczność! W tył zwrot! Marsz! Nie będziemy świadkami mordu!

Francuzi ruszyli na murzynów z pochylonymi do ataku bagnetami i za chwilę rynek rozbrzmiał przeraźliwym wyciem mordowanych.

Major błądy, wzburzony, prowadził legionistów z powrotem do koszar.

Minęło wiele dni od onej pamiętnej chwili. Szczęście wojenne opuściło Francuzów. Trzymające ich się jeszcze resztki wojsk kolonialnych, przeszły do powstańców, żółta febra dziesiątkowała szeregi, murzyni opanowali forty Bineau i Ça-ira, pod Tiburon zmusili korpus generała Sarracina do odwrotu. Wreszcie, naczelnie dowodzący Francuzami, generał Rochambeau poddał się Anglikom, zaś w lutym 1804 roku, Dessalines wódz murzyński, ogłosił się prezydentem republiki San-Domingo. I w tym czasie wydał on

okrutny rozkaz wymordowania wszystkich białych, podejrzanych o sprzyjanie rządowi francuskiemu.

Dreszcz trwogi wstrząsnął jeńcami wojennymi, między którymi było około czterystu Polaków. Lecz nad nieszczęsnymi rozbitkami, opuszczonymi w chwili klęski przez komendantów francuskich, czuwała Opatrzność. Srogi Dessalines, pławiący się z taką rozkoszą w krwi białych, zajął się losem legionistów. Zgromadził ich wszystkich i w te do nich przemówił słowa:

— Słyszałem o doli waszej, wiem, że przemocą was tu zawleczono. Byliście zawsze szlachetni, nie chcieliście mordować braci naszych w St. Marc. Jeśli chcecie, zostańcie z nami, przyjmiemy was za dzieci wyspy naszej. Kto nie chce, może wracać do swej Ojczyzny.

W kilka miesięcy później, wynajęta kosztem Dessalines'a fregata, przewiozła stu sześćdziesięciu legionistów do Nowego Jorku, skąd na Kopenhagę i Gdańsk podążyli w rodzinne strony.

A ilu ich legło? — któż odgadnąć może!...

Na piaskach San-Domingo, w głębiach oceanu, spoczywają kości bezimiennych bohaterów, którzy głową nałożyli za złudne nadzieje, jakimi kupiono ich ramię.



X.

W wąwozie Somosierry.

Chmurny i ponury wstał dzień 30. listopada 1808 roku. O samym świcie zahuczała bateria Senarmonta, szląc grad pocisków ku dumnym i skalistym szczytom Somosierry.

Toczył się bój krwawy, zawzięty, uparty. Na rozkaz cesarza, szedł pułk za pułkiem, brygada za brygadą i wracały rozbite, zdziesiątkowane, niezdolne do wyparcia Hiszpanów z dobrze obranej pozycji.

Przez wąwóz Somosierry wiodła jedyna droga do Madrytu. Była ona zaledwie ośm łokci szeroka, otoczona dokoła urwiskami i wysokimi szczytami. Wąwóz miał cztery zakręty, na każdym zakręcie stała bateria artylerii; ściany i szczyty gór obsadziło czternaście tysięcy hiszpańskiego żołnierza.

Wódz hiszpański ze spokojem na twarzy, przypatrywał się rozpaczynemu atakom francuskiej piechoty, która z okrzykiem: „niech żyje cesarz!“ darła się ku stanowiskom Hiszpanów, by zdobyć słowo pochwały z ust ubóstwianego cesarza, lub zginąć w jego oczach.

Daremnie! Z wąwozu sypał się tak morderczy grad pocisków, że pułki topniały jak śnieg pod promieniami kwietniowego słońca, że najdzielniejsi mar-

szałkowie francuscy stracili wiarę w możliwość zdobycia Somosierry.

A tuż przed wąwozem stał On — ten wielki cesarz, ów „bóg wojny“, przed którym drżała cała Europa, który jednym skinieniem obalał trony, tworzył nowe państwa, wskrzeszał zamarte ludy.

Stał, nie bacząc na gwizdzące kule i spoglądał w ciemną czeluść wąwozu, w którym tyłu dzielnych jego żołnierzy grób znalazło.

Brwi cesarza marszczyły się groźnie. Czy tu, u stóp tej przeklętej Guadaramy miałyby postradać swą sławę, opromienioną słońcem Marenga, Austerlitzu i Frydlandu?...

W tyle za nim stał sztab i cały rój adjutantów i ordynansów.

W dali za sztabem uszykowała się garść polskiej jazdy. To dzieci z nad brzegów Warty i Wisły, dzieci mazowieckich łąnów, synowie nieszczęsnej, na troje rozdartej Polski, którzy na głos wielkiego wodza opuścili kraj i poszli w świat, wpatrzeni w zwycięskie orły cesarskie, bo On przyrzekł, że ich ziemię wolną uczyni.

Trzeci szwadron szwoleżerów gwardyi, liczący sto dwadzieścia pięć ludzi...

Przed frontem szwadronu przejeżdżał szef Kozietulski, jakiś nie swój, niemniej od cesarza posepny i zamyślony.

Głuche milczenie zaległo szeregi, zły humor szefa szwadronu udzielił się obu kapitanom, panom Dziewanowskiemu i Krasińskiemu, oraz reszcie szwoleżerów.

Przed szeregami szwadronu zjawił się marszałek Bessieres i osadził swego rozhukanego konia.

Marszałek był dziwnie zakłopotany, z twarzy jego biło żywe nieukontentowanie.

— Rozkaz cesarski! — rzucił przez ścisnięte zęby.
— Trzeci szwadron, szwadron szwoleżerów do ataku!
En avant!

Oblicze Kozietulskiego pociemniało. Ciemny pons oblał i tak czerniawą twarz szefa szwadronu. Wydobył szablę z pochwy, wyprostował się w siodle i huknął gromko:

— Trzeci szwadron, baczność! Słyszeliście rozkaz cesarza?! — Szarża!... Na góry, na skały, na Hiszpanów, na wszystko co przed nami! Formuj czwórki!

Skinął ręką — kapitan Dziewanowski wysunął się z szeregu.

— Bracia! — rozpoczął Dziewanowski, dźwięcznym, metalicznym głosem — spada na nas zaszczyt wielki, niesłychany! Pamiętajcie, że dziś mamy sposobność pokazać cesarzowi, żeśmy zasłużyli być wolnymi! Pomnijcie na sławę przodków, na Kirchholm, Chocim i Wiedeń, pomnijcie, żeście Polacy!

— Dość! — syknął Kozietulski. — Cesarz na nas patrzy! Naprzód!...

— Niech żyje cesarz! — huknięto na całym froncie.

Wspięli konie ostrogami i ruszyli jak wichur. Promienie wschodzącego, bladego słońca, ześlizgnęły się po ostrzach dobytých szabel, opromieniły rozmańnionę twarzę szwoleżerów.

— Uderzyli jak straceńcy — mruknął generał Montbrun do stojącego przy nim pana de Segur.

— Szkoda tak dzielnych zuchów — wyginą do nogi, nim dojdą do pierwszej baterii — odrzekł zagadnięty.

Szwolężerowie szli jak złowieszczą burza. Pierwsza bateria hiszpańska przyjęła ich morderczym ogniem. Żelazne ptactwo z szumem przeleciało nad ich głowami — druga salwa kilkunastu zwała z koni.

Wraz z nimi runął szef Kozietułski, przywalony zabitym koniem. Nie wstrzymało to szwadronu, który lotem ptaka gnał naprzód. Kapitan Dziewanowski stanął na czele atakującej kolumny, zaś Kozietułski pobiegł za nimi pieszo, usiłując pochwycić jakiego luźnego konia.

Hiszpańscy kanonierzy nie mieli czasu po raz trzeci przyłożyć lonty do zapałów, rozniesiono ich na szablach...

Pierwsza bateria była zdobytą.

Wódz hiszpański pobladł, twoga ścisnęła jego serce, gdy ujrzał czworograniaste kaski szwoleżerów mknące w szalonym rozpędzie w górę. Rozkazał zdwoić ogień piechoty, walić złomy skalne w dół, by powstrzymać impet polskiej jazdy.

Wąwóz zmienił się w istne piekło. Dziesięć tysięcy karabinów hiszpańskich grzmiało bezustannym chórem, w dole kartacze i granaty rozrywały w strzępy i jeźdźców i konie.

Lecz szwoleżerowie mimo wszystko, darli się naprzód. Oczy wiarusów zachodziły krwią, żyły na skroniach nabrzmiwały; wśród piekielnego huku dział i palby ręcznej broni, chwycił ich obłęd graniczący niemal ze szaleństwem. A oni gnali naprzód, nie bacząc na krew broczącą ich mundury, na stratowane ciała towarzyszy, bo wśród kłębow dymu, ulewy kul i w czerwonym blasku wystrzałów zwidywała im się postać skutecznej w kajdany Matki...

— Bij, zabij! — huknął Dziewanowski.

Przeszli jak huragan — jak trąba powietrzna, która wszystko niszczy, na co natknie w drodze. Zwalił się z konia porucznik Krzyżanowski, a w ślad za nim kapitan Krasieński. Zagrały trąbki — kanonierzy zrabani — druga bateria wzięta...

— Naprzód! Naprzód!

Śmierć zbiera obfite żniwo — konie szwoleżerów rwą się, szał jeźdźców i rumaki ogarnia. Lecą z wichrem w zawody.

Hiszpanie rozumieją, że to stanowcza chwila. Trzecia bateria z piorunującą szybkością nabija działa, przykłada lonty do panew...

Nim dym się rozszedł, szwoleżery wpadli na armaty. Niema już kapitana Dziewanowskiego, zapadł się w tym wąwozie śmierci — adjutant Rudowski i porucznik Niegolewski atak prowadzą.

U szczytu gościńca czwarta, nietknięta bateria, piekielnym ogniem zionie. Garstka kawalerzystów pędzi ku niej, garstka żelaznych, zrezygnowanych ludzi. Drżą ręce hiszpańskim artylerzystom, oficerowie przywołują ich do pośpiechu, lecz napróżno! Żadna siła nie jest w stanie powstrzymać szwoleżerów, których w tej chwili ogarnia żądza zemsty, pragnienie krwi za tyłu poległych towarzyszy.

Spadają na baterię jak gromy z jasnego nieba. — Wszczyła się bój zajadły, zażarty. Hiszpanie, widząc szczupłą garstkę, z rozpaczą bronią swej ostatniej pozycji. Pada zalany krwią adjutant Rudowski, pada ranny porucznik Niegolewski, jeszcze chwila, a hiszpańskie piechury rozniosą na bagnietach pozostałych przy życiu szwoleżerów — rozszarpia ich w strzępy.

Ale z głębi wąwozu dobiega gromki okrzyk. To reszta pułku szwoleżerów i konni strzelcy gwardyi biegną w sukurs swoim.

Popłoch ogarnia hiszpańskie zastępy. Mimo nawiwoływań komendantów opuszczają stanowiska, rzucają broń i uchodzą w kierunku Bujtrago.

A tam w górze, przy ostatniej zdobytej baterji, stoi garść osmolonych, okrwawionych szwoleżerów, a z ich piersi wybucha okrzyk potężny, do łoskotu piorunów podobny:

— Niech żyje Polska! Niech żyje cesarz!

W tej samej chwili cesarz, oglądający stanowisko pierwszej baterji hiszpańskiej, zwraca się do marszałka Victora i mówi z szczerem podziwem:

— Przecież to dzielni ludzie, ci Polacy!



XI.

Grenadyer Grabowski.

Trwoga padła na mieszkańców Płocka. Austriacy podstąpili niemal pod same miasto, naładowali galary wojskiem i opanowali kępę na Wiśle, Tokarówką zwaną. Trzystu ochotników nowozaciężnych, tworzyło osadę kępy, nic więc dziwnego, że niedoświadczeni młokosi dali się podejść starym ćwikom i poddali się niemal bez wystrzału. To też prefekt departamentu imć pan Rajmund Rembieniński, włosy darł sobie z głowy, spodziewając się słusznych wyrzutów od rządu Księstwa, który mu zalecił utrzymanie kępy w rękach polskich.

Austriacy obsadzili kępę pięciuset żołnierzami, dwie paszcze armatnie skierowali na miasto, zamierzając w najbliższych dniach przeprowić się na prawy brzeg Wisły.

— Co tu począć, co tu począć? — biadał pan prefekt przed sędzią trybunału płockiego panem Sędzimirem. — Kępę odzyskać musimy, gdyż w przeciwnym razie Austriacy wyparują nas i z miasta. Ta kępa to klucz do Płocka!

Narzekania pana prefekta były uzasadnione. Między Tokarówką, a prawym brzegiem Wisły była druga

kępa Płocką zwana, gęsto krzakami porośla. Z Tokarówki na Płocką kępę można było w bród przejść szeroko rozlaną Wisłę i z łatwością opanować miasto, którego załogę stanowiła zaledwie kompania piechoty ósmego pułku i niespełna dwustu ochotników, należących do tak zwanej gwardyi narodowej.

— Nie oprzemy się Austryakom — mówił pan Rembieliński, — jeśli im przyjdzie ochota odwiedzić nas w Płocku.

— Tak jest — potwierdził pan Sędzimir — trza ich wyrzucić z kępy.

— Zmiłuj się waćpan, z kim, z czem? Czyż z tą garstką gwardzistów i tymi kilkudziesięciu ósmakami?!

— Ba — odrzekł Sędzimir, — jest tu w mieście dzielny oficer, kapitan drugiego pułku, imć pan Łagowski, który podjąłby się takowej imprezy.

— Gadaj waćpan zdrów! Toż Łagowski chory, liże się z ran pod Grochowem otrzymanych.

— Jednak pójść do niego nie zawadzi.

— Ha, spróbujmy!

Obaj urzędnicy udali się do mieszkania kapitana i w krótkich słowach wyłuszczyli mu powód swego przybycia. Kapitan słuchał cierpliwie, wąsa kręcił w milczeniu, medytował dłuższą chwilę i szerokimi krokami chodził po pokoju.

— Mości kapitanie — zaczął prefekt ponownie — tu nie o sam Płock i nie o nas chodzi, ale jak ci wiadomo, w mieście znajduje się magazyn efektów wojskowych, zawiązek pułku Siemianowskiego i lazaret z tysiącem rannych żołnierzy. Wszystko to może wpaść w ręce nieprzyjaciela, jeśli zechce tentować przeprawę.

Kapitan przystanął.

— Słusznie panie prefekcie — rzekł po chwili.
— Widzisz sam, że rany moje jeszcze nie zaschły, ale gdy trzeba... Hm, ta wasza gwardya narodowa, może do parad dobra, ale w boju... — uśmiechnął się ironicznie.

— Przepraszam — wtrącił Sędzimir, — są walni chłopcy i między nimi.

— No, no, — odparł Łagowski pojednawczo, — nie ujmuję ja im, lecz wolałbym mieć do rozporządzenia ze trzy kompanie starego żołnierza. Ale wspomniałeś waszmość lazaret wojskowy. Już wiem co zrobię.

Urzednicy spojrzeli na kapitana pytającym wzrokiem.

— Pójdę do lazaretu — mówił kapitan przypasując szablę. — Kto wie, czy tam nie znajdą się ochotnicy.

Ożywił się, z pośpiechem zapiął mundur, kask wdział na głowę.

— Chodźmy mościpanowie, czasu szkoda!

— Ależ kapitanie — zaoponował prefekt — przecież to ranni!

— Ranni nie ranni — trudno się ciałkać, gdy nieprzyjaciel przed nosem.

W kilku minutach byli u bram lazaretu. Kapitan wszedł do dużej sali, w której leżało kilkudziesięciu żołnierzy różnej broni. Jedni ubrani, z rękami na temblaku, lub z obandażowanymi nogami, siedzieli na łózkach, kilku kręciło się po sali postukując drewnianymi kulami, inni ciężiej ranni leżeli na swych posła-

niach. Śmierć, kalectwo i groza wyzierały z każdego kąta.

Łagowski stanął w progu i huknął donośnym głosem:

— Wiara, wy się wylegujecie, a Austryacy przed miastem! Najdalej jutro złożą nam wizytę!

Wiadomość wpadła jak bomba—zdrowsi pozrywali się, z innych sal wbiegło kilkudziesięciu, nawet ciężko ranni podnieśli głowy.

— Gdzie, co, jak? — padały gorączkowe pytania.

— Wzięli Tokarówkę — tłumaczył kapitan — a stamtąd zaledwie mila do miasta. Należy odebrać kępę za każdą cenę, bo inaczej wezmą nas jak trzodę baranów. Między wami dużo takich, którzy z austryackich glidów zbiegli, tym by Niemcy landszteków nie pożałowali. Trzeba ratować miasto, braci i własną skórę. Kto czuje się na siłach niech wychodzi — na dziedzińcu się policzymy!

To rzekłszy, kapitan wyszedł z sali i w towarzystwie Rembielińskiego i Sędzimira udał się na podwórze szpitalne.

W szpitalu zawrzało jak w ulu. Wieść o Austryakach obiegła sale, stawiając na nogi wszystkich zdrowszych żołnierzy. Kto tylko czuł się na siłach zwał się z posłania, zbierał swój wojacki dobytek i wychodził. Napróżno lekarze wstrzymywali rannych, cały budynek aż trząsał się od okrzyków:

— Ratujmy swoich panowie bracia! — Na Austryaka!

Kapitan Łagowski, wsparty na szabli, stał na środku podwórza i czekał.

Pierwszy wyszedł grenadyer, chłop rosły, o sumiastym wąsie, z głową obandażowaną, z lewą ręką na temblaku.

Kapitan przystąpił ku niemu.

— Ty z którego pułku?

— Z pierwszego panie kapitanie, z grenadyerskiej kompanii.

— Jesteś ranny.

— Głupstwo kapitanie. Szelmy „białasy“ sprawili mnie pod Górą. Ale prawa ręka zdrowa — dodał, ściskając pięść, potężną jak bochenek, — oddam im dziś za swoje!

Żołnierz chwiał się na nogach. Bandaże zaczerwieniły się świeżą krwią.

— Jak się nazywasz?

— Grabowski, panie kapitanie.

— Jesteś za słaby, nie pozwolę ci iść. Wracaj do łóżka!

— Panie kapitanie, ależ...

— Żadne ale! Wracaj natychmiast!

Żołnierze wychodzili coraz liczniej. Kapitan stary przegład czynił, wybierał co zdrowszych, słabszych odsyłał z powrotem. Wybrawszy siedmdziesięciu pięciu rekonwalescentów, zatarł ręce z zadowoleniem.

— Wystarczy — rzekł do pana Rembieleńskiego. Poszli.

Z ciężkiem westchnieniem wracał grenadyer Grabowski do siebie na górę. Z okna śledził dłuższą chwilę maszerujący zastęp wiarusów, dopóki nie znikli na zakręcie ulicy. Siadł na swem łóżku i zamyślił się. Więc on już taki niedołęga, że go ze sobą na wyprawę wziąć nie chcieli! A on przecież czuje siłę

w gnatach, jest przekonany, że przydałby się walczącej braci.

Zmrok już zapadał i snuł się po kątach szpitalnej sali, tu i ówdzie ranni rozmawiali szeptem, gdy naraz ciszę przerwał odgłos wystrzałów armatnich i suchy trzask salwy karabinowej.

Grabowski zerwał się na nogi — odgłos ten zelektryzował go.

— Biją się! — wykrzyknął. — Nasi biją się z Niemcami!

— Biją się! — powtórzył ranny artylerzysta, którego również wykluczono od udziału w wyprawie.

— Pal dyabli! — rzekł grenadyer stanowczym głosem, — ja idę!

— Idę i ja! — zawołał kanonier.

— Chodźmy!

Uważając, by ich który z lekarzy, lub ze służby sanitarnej nie zatrzymał, przekradli się przez kurytarz i wybiegli na ulicę.

Na kępie wrzała już zacięta bitwa. Kapitan Łagowski uzbroiwszy swoich wiarusów i przyłączywszy do nich żołnierzy ósmego pułku, oraz część gwardyi narodowej, wyruszył ku Wiśle. Towarzyszyła mu garść mieszczan-ochotników, dowodzonych przez Sędzimira.

Naprzeciw Tokarówki leżały dwie kępy, Płocka i Ośnicka, które Austriacy nie obsadzili. Sędzimir zajął Ośnicką wysepkę i starając się ściągnąć na siebie uwagę nieprzyjaciela, rozpoczął stamtąd zaciętą strzelaninę. Równocześnie Łagowski wsadził na prom, używany do przewozu przez Wisłę, porucznika Ro-

kickiego z dwudziestupięciu żołnierzami, kazał im położyć się na promie i przykryć słomą, poczem skierował ten prom ku Tokarówce, sam zaś na czele studwudziestu ludzi, wsiadł na przygotowane łodzie usiłując Austryaków zaatakować z frontu.

Ryzykowne przedsięwzięcie powiodło się w zupełności. Austryacy, uważając prom za galar naładowany towarami, dozwolili przybić mu do kępy. W tej chwili żołnierze ukryci pod słomą, wyskoczyli na kępę i rozsypawszy się w łańcuch tyralierski, dal ognia z karabinów.

Z obu stron szedł zacięty ogień. Strzelano z wysepki Płockiej i Ośnickiej, gdzie pan Sędzimir cudów waleczności dokazywał, łodzie Łagowskiego okrężały kępę ze wszech stron. Jednak Austryacy mając przy kępie kilka promów, linami do brzegu przymocowanych, wprowadzili na jeden z nich dwie armaty i ogniem działowym wielce atakującym szkodzili. Gdy przy jednym krańcu Tokarówki toczyła się zjadła walka piechoty austryackiej z ludźmi porucznika Rokickiego, drugi cypl wysepki, opatrzony armatami, zdawał się być niepodobnym do opanowania. Próżne były usiłowania Łagowskiego, już dwie łodzie gwardzistami naładowane poszły na dno Wisły, kule gradem się sypiące wstrzymywały zapędy polskich ochotników.

Grenadyer Grabowski, zwykłą siekierą uzbrojony, pędził co mu sił starczyło w stronę Wisły. Towarzysz jego, kanonier, ustał w drodze, lecz on nie zważając na dotkliwy ból w ramieniu, gnał ku placowi boju. Nad brzegiem wstrzymał go prefekt Rembieliński, stojący z kilkuset chłopami w kosy

uzbrojonymi, których zwołano z okolicy na obronę zagrożonego miasta.

— Dokąd to mości żołnierzu? — zapytał prefekt. — Wstrzymaj się, krew ci uchodzi!

Lecz Grabowski był już przy brzegu i wskoczył do jednej z stojących przy nim łódek.

— Jadę do swoich, panie prefekcie — odrzekł spokojnie.

Ruszył wiosłem i z chyżością strzały pomknął ku Tokarówce.

Wśród zmroku zapadającej nocy i mimo prochowego dymu, dzielny grenadyer odrazu zoryentował się w sytuacji. Dojrzał prom, stojące na nim armaty, i kanonierów z zapalonymi lontami. Skierował łódkę w tę stronę i korzystając z tego, że dym powiał wprost ku niemu, pod jego osłoną przybił do promu.

Łódka uderzyła o prom tak gwałtownie, że ten zachwiał się cały, a grenadyer krwią ociekający, ruchem od myśli szybszym skoczył ku linie i ciął w nią siekierą z całej mocy. Nim się Austriacy opamiętać zdołali, Grabowski wpadł do wody i znikł w okamgnieniu.

Rozległ się straszliwy okrzyk przerażenia. Prom naładowany armatami i żołnierstwem, porwany prądem, ruszył z biegiem rzeki. Porwała Wisła najeźdźców, skrzyła promem, powlokła nim po wystających z wody kamieniach i za chwilę do uszu uczestników walki doszedł trzask pękających desek, wołania o ratunek i prom rozleciał się w kawały.

Łodzie kapitana Łagowskiego przybijały do brzegów kępy. Kto z pozostałych na niej Austryaków pardonu nie prosił, dostawał bagnetem w pierś.

Kępa była zdobytą.

Na samym brzegu kępy leżał przemoknięty i okrwawiony Grabowski. Cudem chyba ocalał. Jednak nadmierne wysilenie wyczerpało do cna jego siły. Rany otwały się całkowicie i jeły krwią broczyć. Zemdlonego znaleźli żołnierze, obwiązali mu rany na nowo, przywieśli do przytomności i zanieśli przed Łagowskiego.

— Ha, tuś mi zuchu! — zawołał kapitan. — Zdezerterowałeś z lazaretu, powinienieś pod sąd pójść, ale przydałeś się nam dzisiaj, przydałeś!

Żołnierz uśmiechnął się blademi usty.

— A widzi pan kapitan! Dopisały mi moje siły! Zemdlał i opadł w ramiona towarzyszy.

Przywołany lekarz nałożył świeże bandażę i opatrzył rannego.

— I cóż doktorze? — zapytał Łagowski, — przetrzyma, wyżyje? Szkoda by nam było takiego zucha.

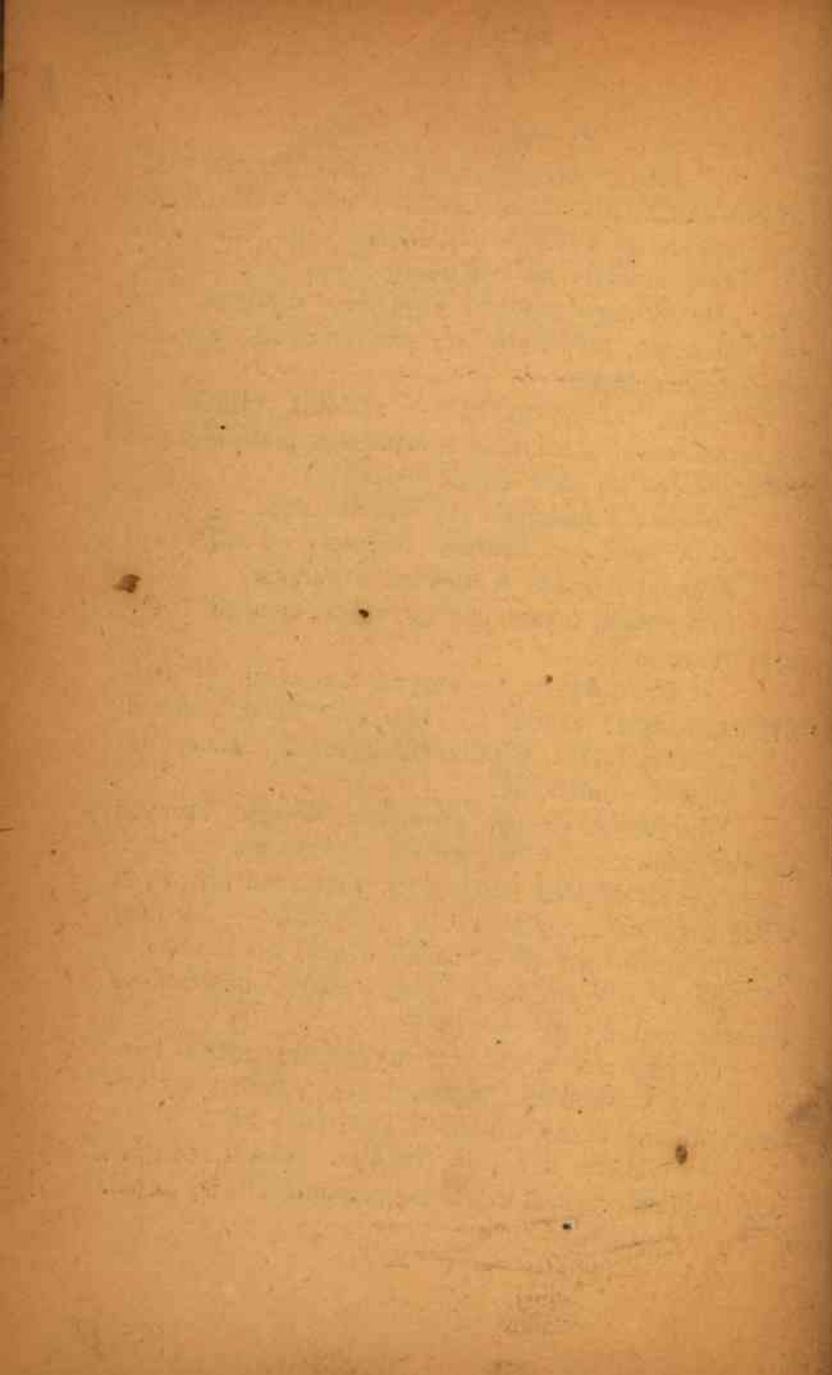
— Przetrzyma, przetrzyma kapitanie, żelazna natura w tym żołnierzyku.

W tryumfie wracali do miasta, wiodąc licznych jeńców. Mieszkańcy przyjęli ich okrzykami radości, przygotowali świetną ucztę, lecz większość dzielnych wiarusów nie mogła z niej korzystać — ich rany otworzyły się na nowo, musieli wracać do szpitala.

Naniesiono im wina, przysmaków, odwiedzano tłumnie, starano się rozweselić.

Na świeżo zasłanem, wygodnem łóżku leżał grenadyer Grabowski. Nakarmiony, wzmocniony dobrem winem, z zadowoleniem uśmiechał się.

— Widzicie wiara — rzekł do swoich kolegów, sam kapitan przyznał mi, że się przydałem na tej kępie.



XII.

Górna chwila.

— Uchodzą Szwaby, zabierają swoje manatki! — huknęło po Lwowie.

— Za gorąco im mościdgeju, boją się, by ich całkiem nie przysmażono — podawali sobie mieszczanie na ucho.

— Cała załoga stoi na placu św. Jura, lada chwila się wyniosą.

Jaki taki usłyszawszy tak miłą wiadomość, biegł na plac św. Jura, sprawdzić ją naocznie.

Poruszyło się całe miasto — każda chwila przynosiła świeże wiadomości.

— Polacy zdobyli Sandomierz — pułkownik Turno zajął Jarosław — w Przemyślu hulają nasze ułany!

Gnęzione przez niemiecką biurokracyę mieszczanstwo lwowskie i brać szlachta gorzeli patryotycznym zapałem. Lica im się śmiały, dłonie mimowoli uderzały o lewy bok, by chwycić tę karabełę, której Niemcy nosić zabronili.

— Dali im nasi łupnia, bo dali — mówił wąsaty mieszczanin, — wzięli Zamość jednym zamachem. Oj nie dorośli „szwarzgelbery“ naszym zuchom!

— Słyszałem panie Walenty — ozwał się drugi, — że sam księżę Józef do Lwowa wali. Przecież nasz Hohenlohe, także prync, służywał pono razem z ks. Józefem, więc ten chce zapytać go, dlaczego przed nim ucieka, i co pary w koniach na Lwów dąży.

Salwą śmiechu przyjęto dowcip mieszczanina.

— Niesporo Niemiaszkom uciekać, żal im, nie będzie z kogo „sztrofy“ ściągać!

— Boją się, by im nasze ułany skóry z pleców nie pościągali!

— Pal ich sześć! — Bogu dzięki, że ich dyabli biorą! — zakonkludował wąsacz. — Mości panowie, wiwat pan Dąbrowski! wiwat księżę Józef!

— Wiwat, wiwat! — odkrzyknięto z zapalem.

— Zbili nasi Austryaków, — ryknął gruby rzeźnik, — górą nasza sprawa!

— Nie wytrzymam panie Marcinie — zahuczał pan Walenty stając przed nim. — Boczyliście się na mnie — ja na was, ale widzę, żeście setny chłop i dobry Polak panie bracie. Dajcie gęby sąsiedzie!

Uściskali się i ucałowali z dubeltówki — rozrzewnienie udzieliło się wszystkim obecnym, nawet nieznanymi sobie ludzie poczęli się ścisnąć.

— Nie damy się panowie bracia! — grzmiał rzeźnik, rozcierając łzy kułakiem, — wysprzedamy się do ostatniej koszuli, a damy na wojsko narodowe, bo podobno chuda fara u naszych.

— Gdyby to już naszych ułanów zobaczyć — mówił niemniej wzruszony pan Walenty, — odmłodziłby człowiek na stare lata. Taka ci pika, na pięć łokci długa panie dzieju, a przy niej chorągiewka furczy. Białe z amarantem, jak za Naczelnika bywało.

— Białe z amarantem — westchnął pan Marcin — nasza, polska barwa panie Walenty!

— Nie widzieliśmy jej dawno — wtrącił ktoś z boku.

— Obaczymy — może dziś jeszcze!

W takim usposobieniu dążyli lwowscy mieszczanie na plac św. Jura, gdzie feldmarszałek a wódz naczelny lwowskiej załogi, ks. Hohenlohe, swoje hufce w szyk sprawił, w celu wykonania „strategicznego” marszu do Stanisławowa.

Piękny majowy dzień — wzdłuż placu ściany białych mundurów, na froncie sztab, generalicya na koniach, zgrupowana dokoła feldmarszałka. Na uboczu garść urzędników, z burmistrzem miasta Lorenzem na czele, żegna odchodzących. Rzadkie miny, w szeregach głucho, galicyjscy rekruci już teraz myślą, jakby to można zrzucić ten nienawisty biały mundur i przedrzeć się tam... ku swoim — powstrzymuje ich jednak żelazna dyscyplina i strach przed rozstrzelaniem.

W tyle, zbita masa publiczności z niekłamanem, złośliwym rozradowaniem, przypatruje się wojsku, które za chwilę Lwów opuści.

Pan feldmarszałek z szyderskim uśmiechem, z pod oka spogląda na zebranych. On wie, że oprócz tej garstki urzędników niemieckich, nikt nie żegna go z życzliwością.

Wydobywa złoty, brylantami wysadzany zegarek i spogląda nań.

— Czas najwyższy do pochodu — gotowi ci z nienawidzeni *polnische Uhlanen* zjawić się, jak zwykle, z pod ziemi.

Ks. Hohenlohe wie dobrze, że taka „piekielna kohorta ullańska“ jest w stanie zrobić dwadzieścia mil dziennie bez popasu i uderzyć na nieprzyjaciela jak grom. Z Przemyśla do Lwowa nie tak daleko...

Poprawia się w siodle i wydaje krótkie rozkazy.

Odzywają się trąbki i bębny, szeregi łamią się i zwijają się w pochodowe kolumny.

— *Regiment, marsch, marsch!*—komenderuje jakiś siwy pułkownik.

— *Marsch, marsch!*—powtarzają kapitanowie.

Ks. Hohenlohe zwraca się raz jeszcze do pozostałych urzędników:

— *Wir werden zurückkehren*—mówi im na pocieszenie, tak głośno, by go mieszczanie słyszeli, — *es wird nicht lange dauern — auf Wiedersehen meine Herren!*

— Na tamtym świecie panie feldmarszałku! — woła ktoś z tłumu.

Feldmarszałek obrzucił tłum jadowitem spojzeniem i pomknął za maszerującą kolumną.

Głośniejsz zagrzmiały trąbki i bębny, zajęczała ziemia pod ciężarem armat i tupotem kopyt końskich.

— *Vorwärts, vorwärts!*—przynaglali oficerowie.

Nie minęło pół godziny, a długie kolumny austriackiej piechoty, konnicy i artylerii znikły w dali.

— Poszli Austriacy! — uczucie ulgi wyrwało się z piersi tłumu.

— Daj Boże, by już nie wrócili!

Po trzydziestu siedmiu latach ucisku i niewoli, Lwów stawał się ponownie polskim miastem. Ra-

dość powszechna rozsadzała piersi mieszkańców — w tej chwili w całym Lwowie nie znalazłbyś Polaka, któryby wierzył w to, że Austriacy mogą wrócić, że znów zaczną uciskać podatkami. Wierzono natomiast w gwiazdę Napoleona, w jego dobre dla Polski chęci i w niezwykłość hufców ks. Józefa Poniatowskiego, które z każdym dniem coraz bardziej zbliżały się ku bramom Lwowa.

Jedni urzędnicy, którym ks. Hohenlohe kazał pozostać we Lwowie i polecił ich wspaniałomyślności polskiego wojska, stali jeszcze na placu, jak skamieniałości, niepewni najbliższej przyszłości. Niejeden z nich miał wobec stojących opodal mieszczan, wiele grzeszków na sumieniu, to też skóra na nich cierpła z obawy.

Zmiarkował snąć ich wewnętrzne uczucia pan Walenty, gdyż z sarkastycznym uśmiechem na twarzy zbliżył się do nich i zapytał pierwszego z brzegu:

— No cóż mospanie Szwabie, dyabli wzięli waszych przyjaciół?

Urzędnik pobrał lekko.

— „Ja ne Szwab, pan Polak, ja sem Czech, wasz brat Slovan“ — zaprzeczył żywo.

— Ho, ho, — rozśmiał się pan Walenty, — teraześ „brat Slovan“, a przedtem nie chciał inaczej szwargotać jeno po szwabsku. Takiś to „Slovan“ brateńku?!

— Dajcie mu pokój panie Walenty — wtrącił rzeźnik, — już tam nasi będą wiedzieli, co z nimi począć.

W gorączkowym naprężeniu i oczekiwaniu przeżyli ten dzień Lwowianie. Na drugi dzień depu-

tacya, z burmistrzem Lorenzem na czele, wyjechała aż do Żółkwi, naprzeciw spodziewanego wojska polskiego, jednak wróciła z kwitkiem, nie zastawszy w Żółkwi nikogo. Pomimo wszystkiego jakieś wewnętrzne przecucie mówiło ludziom, że wojsko polskie lada chwila się zjawi. W tę krótką, majową noc, w całym Lwowie prawie nikt nie spał — Polacy z radości — Niemcy z obawy; — ledwie zaś na niebie szarzeń poczęło, mnóstwo ludzi pośpieszyło ku gródeckiej rogatce.

Zegar na ratuszu wydzwonił czwartą rano, gdy na gródeckim trakcie rozległ się turkot wózka, a po chwili nadjechała poczta z Gródka. Siedzący na bryczce młody chłopak — pocztylion, ujrawszy tyłu ludzi przy rogatce stojących, zatrąbił rażącego krakowiaka i powstrzymał rozpędzone konie.

— Hej panowie — zakrzyknął zdyszczanym głosem, — za mną, o pół mili nasi cheszą!

— Nasi, o dla Boga! — huknął gruby rzeźnik, którego i tu nie brakło, — gdzieżeś ich widział bąku?

— Dyc z Gródka jeszcze nocką wyjechali — odparł pocztarek, — o milę stąd zatrzymali się przy karczmie, by konie popaść.

— A w Gródku siła naszych? — badał rzeźnik dalej.

— Są, są, i piechota i ułany na koniach i jenerały. Poczkajcie, wiedziałem jak się jeden z nich nazywa!... Kamiński. Aha!...

— Kamiński — rzeźnik zwrócił się do otaczających, — szczery to żołnierz — jeszcze z pod Naczelnika i z legionów.

— Ej nie bajdurzmy, — ozwał się jakiś mieszczanin, — chodźmy naszym naprzeciw. A ty smyku — rzekł do pocztarka — jedź ze swoją pocztą. Nie będziesz więcej austriackiej poczty woził!...

— Jeno naszą—ma się wi proszę pana—odparł chłopak śmiejąc się radośnie.

Zaciął konie i odjechał ku miastu, grając od ucha swojego krakowiaka.

Niedaleko uszli nasi mieszczanie, bo już w kilka minut ukazał się obłok kurzu, który ze szybkością kuli toczył się po gościńcu. Nasi Lwowianie biegiem puścili się naprzeciw.

I rozrzewniająca scena rozegrała się na gródeckim gościńcu. Gdy kurz opadł, oczom biegnących ludzi ukazał się szczupły oddział jazdy polskiej, na zdobywie Lwowa jadący. Czternastu konnych strzelców i dwóch ułanów, z porucznikiem Starzeńskim na czele.

Zapanował istny szał. Mieszczanie lwowscy i brać szlachta otoczyli kawalerzystów i formalnie ściągali ich z koni. Ściskano, całowano nie tylko żołnierzy, ale i ich konie, wiwatowano na ich cześć, radośnym okrzykiem nie było końca. Najbardziej oponował pan porucznik perswadując, że to przeciw dyscyplinie, lecz gdy go przemocą ściągnięto z konia i poniesiono na rękach w kierunku miasta, dziarski oficer rozbeczał się jak bóbr.

— My tu do was bracia... — mówił urywanym głosem, — my szli... bijąc się w dzień z Niemcami... nocą nie sypiając... szliśmy... et co tu gadać... pocziwiści z kośćcami... daj gęby pierwszy z brzegu...

A tłum szedł zwiększając się z każdą chwilą świeżo przybywającymi i niosąc na swych barkach tych wymarzonych w snach polskich żołnierzy, płacząc i wiwatując na przemian. Któryś z żołnierzy zanucił marsz Dąbrowskiego, tłum podchwycił słowa pieśni i pieśń legionów zagrzmiała jak grom, stawiając na nogi całe miasto.

Pochód doszedł dzisiejszej ulicy Czarnieckiego i zatrzymał się przed główną strażnicą. Ułani i strzelcy wydarli się z rąk ludu i wsiedli na koń. Porucznik Starzeński poprawił przekrzywioną ładownicę i pendent pałusza, wyszedł na schodki, brwi zmarszczył i rzekł donośnym, drgającym ze wzruszenia głosem:

— Mości panowie, Lwów nasz!

— Nasz, nasz! — odwrzasły tysiące głosów.

I rozległ się płacz głośny. Płakali żołnierze, mężczyźni i starcy, płakały kobiety i dzieci, płakała brać szlachta i lwowscy mieszczanie. Zapał z jakim witano polskich żołnierzy, tych zwiastunów wolności, nie znał ni miary, ni granic. Hrabina Potocka własnym drogocennym szalem obwiązała ranę konia porucznika Starzeńskiego, — w radośnem uniesieniu całowały piękne Lwowianki nawet konie polskich żołnierzy.

O godzinie pierwszej z południa odbyło się uroczyste przyjęcie naszych wojaków. W kwaterze porucznika zjawili się przedstawiciele obywatelstwa — Teodor Potocki, wojewoda bełzki, stary spiskowiec Walerjan Dzieduszycki, Hilary Siemianowski, konsyliarz gubernialny, mecenas Wągleński i Dzierżkowski.

W okamgnieniu znikły austryackie orły z rządowych gmachów, hotel galicyjski zmienił swą nazwę

na polski, na aptece Krzyżanowskiego pojawiła się czerwono-biała tablica z napisem: Apteka polska. Nawet mieszczańska milicya pozbyła się czarno-żółtych odznak i orłów i zastąpiła je kokardami o narodowych barwach.

Na placu przed odwachem, ku ogromnej ucieście gawiedzi, gorzał cały stos austriackich orłów....





XIII.

Zajęcie Krakowa.

W Podwawelskiej stolicy serca drżały.. . Jakiś niewysłowiony dreszcz radości je przenikał, jakieś dziwne uczucie ogarniało. W mieście i w okolicy stał wprawdzie silny korpus wojsk austriackich, pod wodzą generała Mondeta, ale Krakowianie wiedzieli dobrze o tem, że ku bramom ich grodu wojska polskie zdążają forsownym marszem. Spodziewano się, że pod murami Krakowa przyjdzie do rozstrzygającej walki, że Austriacy nie ustąpią bez boju.

W zwycięstwo polskiego oręża nikt nie wątpił. Armia, na której czele stał książę Józef Poniatowski, ów wódz nad wodze, rycerz na rycerze, kochanek i ulubieniec narodu — armia ta nie mogła być pobita!

Stugębna fama, mimo austriackich straży, najróżniejsze wieści przyniosła do Krakowa. Cuda opowiadano, sobie o waleczności polskich wiarusów, o tem, jak przed jednym ułanem bez boju pierzchały całe szwadrony anstryackich dragonów i huzarów, mówiono sobie na ucho, jak ci „piekielni jeźdźcy“, w kilku lub kilkunastu, bez wystrzału brali miasta, osadzone silną

załogą — z Podola dochodziły głuche wieści o zwycięskich bojach, przez szefa Strzyżowskiego toczonych i o przestępnych czynach sierżanta Jaszczułda. Wreszcie gruchnęła wieść, która zalekryzowała wszystkich i całe miasto postawiła na nogi:

— Księżę Józef idzie na Kraków!

Podwawelski gród drżał febrycznie... Księżę w rzeczywistości z wielką szybkością posuwał się ku stolicy. Odbywwszy w Radomiu przegląd swego korpusu, liczącego 23 tysięcy żołnierza, wydał rozkazy do pochodu.

Z wszech stron ustępowali Austriacy, cofając się ku Krakowu. Po zwycięskich dla polskiego oręża starciach, pod Pińczowem, Przedbożem i Żarnowcem, po raz pierwszy usłyszeli Krakowianie, od strony Czerwonego Prądnika, granie polskich armat.

— Po Prądnikiem biją się nasi!

Przed samym wieczorem obdarty i kurzem okryty huzar przeleciał przez rynek, z okrzykiem trwogi na ustach:

— *Uhlanen! Uhlanen!*

W chwil kilka, tuż pod miastem, rozległ się trzask salwy karabinowej i grzmiące okrzyki.

W mieście wiedziano, że to polska straż przednia, pod wodzą generała Roźnieckiego, uciera się z austriackimi oddziałami.

W godzinę później z kwatery generała Mondeta wyjechał w stronę polskiego obozu parlamentarz, wiozący warunki oddania miasta i zawieszenia broni. W myśl konwencji, zawartej z generałem Roźnieckim, Mondet zobowiązał się do opuszczenia Krakowa i Podgórze w przeciągu dwunastu godzin, zaś dopiero

w sześć godzin po wyjściu Austryaków, wojska polskie miały wkroczyć do miasta.

Szlachetny książę Józef nie przypuszczał, że podły Niemiec zdradę knuje i że jedynie dla zdrady stawia powyższe warunki. Za korpusem polskim ciągnęło wojsko rosyjskie, w charakterze „sprzymierzeńców“. Otóż Mondet zawezwał dowodzącego Rosyanami generała Siewersa, by uprzedził Polaków i zajął miasto.

Późną nocą, Grodzką ulicą wyszli Austryacy z Krakowa, a miasto odetchnęło jak po ciężkiej zmo-
rze.

— Poszli biały! —

Jakież było zdziwienie Krakowian, gdy o świcie 15. lipca 1809 roku ujrzeli w mieście szpiczaste czaka rosyjskich piechurów i baranie czapy kozaków. Niemniej od nich zdziwiony był książę Józef, który przybywszy z Miechowa tegoż dnia przed południem, przy odgłosie marsza Dąbrowskiego, wjeżdżał do starej królów polskich stolicy, a grenadyerzy rosyjscy zastąpili mu drogę, krzyżując swe bagnety.

Żachnął się wódz polski.

— A to co nowego? — wykrzyknął, — Kraków do nas należy!

Skoczył Włodzimierz Potocki, komendant przez siebie sformowanej konnej baterii artylerii, w oczy księciu spojrzął i do swoich kanonierów się zwrócił.

— Bateria baczność! — rzucił ostro. — Naprzód! Galopem!

Kanonierzy wspięli konie i galopem ruszyli z miejsca. Przed galopującymi końmi rozstąpili się rosyjscy grenadyerzy i huzarzy, a w ślad za artylerią oddziały polskich wołyżerów i grenadyerów, wśród

radośnych okrzyków mieszkańców, wkroczyły do miasta.

W rynku stały rosyjskie działa, a przy nich kanonierzy z zapalonymi lontami, naprzeciw zaś stanęły dwa szwadrony polskiej kawalerii. Między „sprzymierzonymi“ armiami lada chwila mogło przyjść do krwi rozlewu, potrzeba było jednej iskry, by prochy wybuchły.

Lecz w mieście nikt o tem nie myślał—kpiono i żartowano z Rosyan i Austryaków, oddawano się powszechnej radości i przyjmowano polskich żołnierzy z całą staropolską gościnnością.

Wieczorem Kraków rozgorzał wspaniałą iluminacją — na rynku i placach uginały się stoły pod ciężarem jadła i napitku, któremi raczono strudzonych wiarusów.

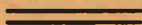
Na drugi dzień *Gazeta Krakowska*, zmuszona dotąd do ogłaszania ciągłych klęsk Napoleona, jako też wojska polskiego, zamieściła powitalny artykuł. Owcześni dziennikarze nie umieli pisać stylem barwnym, napuszystym, pisali jednak z uczuciem. — Oto wyjątek z rzeczzonego artykułu:

„Dnia wczorajszego (15. lipca), po piętnastoletniem niewidzeniu, po trzynastoletniej niewoli, zobaczył Kraków wojska polskie. O godzinie szóstej zrana weszły wojska polskie pod naczelnem dowództwem J. O. ks. Poniatowskiego bramą Floryańską do miasta, przy radośnych okrzykach mieszkańców: „Niech żyje Napoleon Wielki! Niech żyją Polacy!“ Wieczorem było miasto całe, z własnej ochoty, iluminowane pięknie, z alegoryami i stosownymi wierszami w transparentach oświetlone“.

I przeżył wówczas Kraków wiele pięknych dni. Nastąpił cały szereg uroczystości, ów sławny bal wydany w Sukiennicach na cześć księcia Józefa, zjazd obywatelswa z całej Polski, przyjęcia, obchody.

A dziś?...

Pozostały nam jedynie wspomnienia — dawnej chwały i minionej wielkości . . .



XIV.

Fantazyja ułańska.

Słońce zapadało już za dalekie góry i lasy, gdy sierżant Jaszczułd, wysłany wraz z trębaczem Borysiewiczem, przez szefa Strzyżowskiego, z rozkazem dotarcia chociażby pod Brzeżany, celem dostania języka, zatrzymali się na wzgórku, na którym stał młyn stary, prawdziwy polski młyn z wiatrakami.

Sierżant bystrem okiem lustrował okolicę. Hen w dali, szarzała wioska, ku której, jak z bata strzelił, szedł od młyna prosty, równy gościniec. Dalej, z lewej strony, wprost od pobliskiego lasu, biegła ku młynowi wązka, polna drożyna.

Nozdrza sierżanta z lubością wciągały świeżą i miłą woń czerwcowego powietrza, co szło od lasu i od rozległych łąnów podolskich.

— Borysiewicz — ozwał sierżant, przeciągając się na siodle, — co, pachnie? ha?

— Według rozkazu panie sierżancie! — odparł trębacz, przykładając rękę do kaska.

— Psia mać morowa! — mówił sierżant. — Piękna ta nasza ziemia — kawał kraju nasze Podole, nie sporo się zeń Niemaszkom wynosić!

Roześmiał się mimowoli i uderzył dłonią po udzie.

— Borysiewicz, prawda co to się nieraz tam w Italii przemarzyło? Pamiętasz — dwanaście lat temu, jakieśmy Weronę wzięli, tam, gdzie brygadyer Liberacki kulą dostał? Pamiętasz, jak to się wówczas wiara z kraju do nas posypała? Przyszli i generał Kniaziewicz z Drzewieckim i Forestier i Zabłocki. Żyło się, chociażśmy obaj w piechurach służyli, a człek głodny, bosi i obdarty chodził. Mówił pan generał Rymkiewicz: „wiara, lada dzień przez Węgry ruszymy do kraju!“. Cieszyliśmy się jak dzieci, wiarusy płakali z radości. No i co? Zawarto pokój, a my znów poszli na nędzę i poniewierkę. Tyle lat!...

Zwilgotniały oczy sierżanta — trębaczowi łzy jak groch duże spływały na szpakowate wąsy.

Sierżant szybko otarł łzę kułakiem.

— Borysiewicz, becysz jak baba! — burknął — nie roztkliwiaj się stary karabinie!

Naraz podniósł się w strzemionach i bacznie spojrzął w dal.

Na gościńcu bieląca długa kolumna szybko idących ludzi.

— Austryaki, dalibóg Austryaki! — wyrzekł sierżant przyciszonym głosem. — Spoczywali w zbożu piespary, a teraz zmykają dalej!

— Austryaki! — bąknął trębacz przez zęby.

Naraz maszerująca kolumna zmieniła szyk i poczęła uchodzić co siły w nogach.

Jaszczu!ł nie mógł wyjść z podziwienia.

— A tym co się stało? Uciekają jak zające! Przecież nas nie dostrzegli, bo jesteśmy młynem o słońce.

Zagadka wyjaśniła się po chwili. Bocznią drożyną gnali pastuchy stado owiec z paszy, a te biegnąc dość szybko wzbijały tumany kurzu. Wiatr niósł kurz ku stronie austriackiej kolumny, która widocznie wzięła owce za jakiś oddział nieprzyjacielski.

Obaj wiarusy wybuchnęli homerycznym śmiechem.

— Uciekają przed owcami! — huknął sierżant. — Borysiewicz, bratku, trąb od ucha: „do ataku!”

Wśród wieczornej ciszy zabrzmiał metaliczny, dźwięczny głos trąbki.

Sierżant z trębaczem ruszyli galopem ze wzgórza.

— Szwadron baczność! — komenderował sierżant stentorowym głosem, — puszczaj cugle! do ataku broń!

Stado owiec dobiegło gościńca i przerażone widokiem dwóch galopujących jeźdźców, zatrzymało się i zbiło w kłęb.

— Chłopie! — ryknął sierżant do niemniej od owiec przerażonego pastucha, — gnaj stado środkiem gościńca, bo ci łeb rozplątam!

Parobczak nie dał sobie powtórzyć rozkazu. Zawinął batem i owce ruszyły za uchodzącymi Austriakami.

Trębacz grał od ucha, sierżant grzmiał, komenderował z całą werwą.

Popłoch w uciekającej kolumnie zwiększał się z każdą chwilą. Żołnierze uciekali jak opętani, wielu rzucało broń do rowu, byle tylko łącniej ujść pogoni. O stawieniu oporu nikt nie myślał, począwszy od kapitana, a skończywszy na ostatnim szeregowcu. Był przekonani, że cały pułk jazdy na nich następuje.

A Jaszczułd siedział im już na karku i rąbał szablą tylne szeregi. W końcu przesadził rów i obiegłszy kolumnę, odciął uchodzący w tyle pluton.

Z groźnie zmarszczoną brwią stanął na środku gościńca i wzniosłszy szablę w górę wrzasnął groźnym głosem:

— Krzyczcie „pardon“, bo każę was w pień wysiekać!

Dowodzący plutonem młody lajtnancik nie namyślał się długo. W tyle rozlegały się coraz bliższe tony trąbki i tentent pędzących owiec i konia, reszta towarzyszy nie troszcząc się o odciętych uciekała dalej. Oficerek obejrzał się po swych żołnierzach, a widząc, że ci nie mają najmniejszych chęci i zamiarów stawiania oporu groźnym ułanom, kazał broń złożyć.

Dwudziestu austriackich żołnierzy, z oficerem na czele złożyło broń przed jednym ułanem!

Pędem nadjechał Borysiewicz.

— Borysiewicz! — zakrzyknął sierżant, — zbieraj karabiny! Przydadzą się nam. A wy bratkuwie — do Austriaków się zwrócił, — naprzód marsz! Parami iść, a niech żaden się nie odwraca, bo kulą łeb rozstrzaskam! Ruszaj!

Jeńcy w milczeniu ruszyli w pochód. Za nimi, z szablą na temblaku, z odwiedzionym pistoletem w rękę, jechał sierżant, w tyle trębacz Borysiewicz wiodł swego konia objuczonego kilkunastu karabinami.

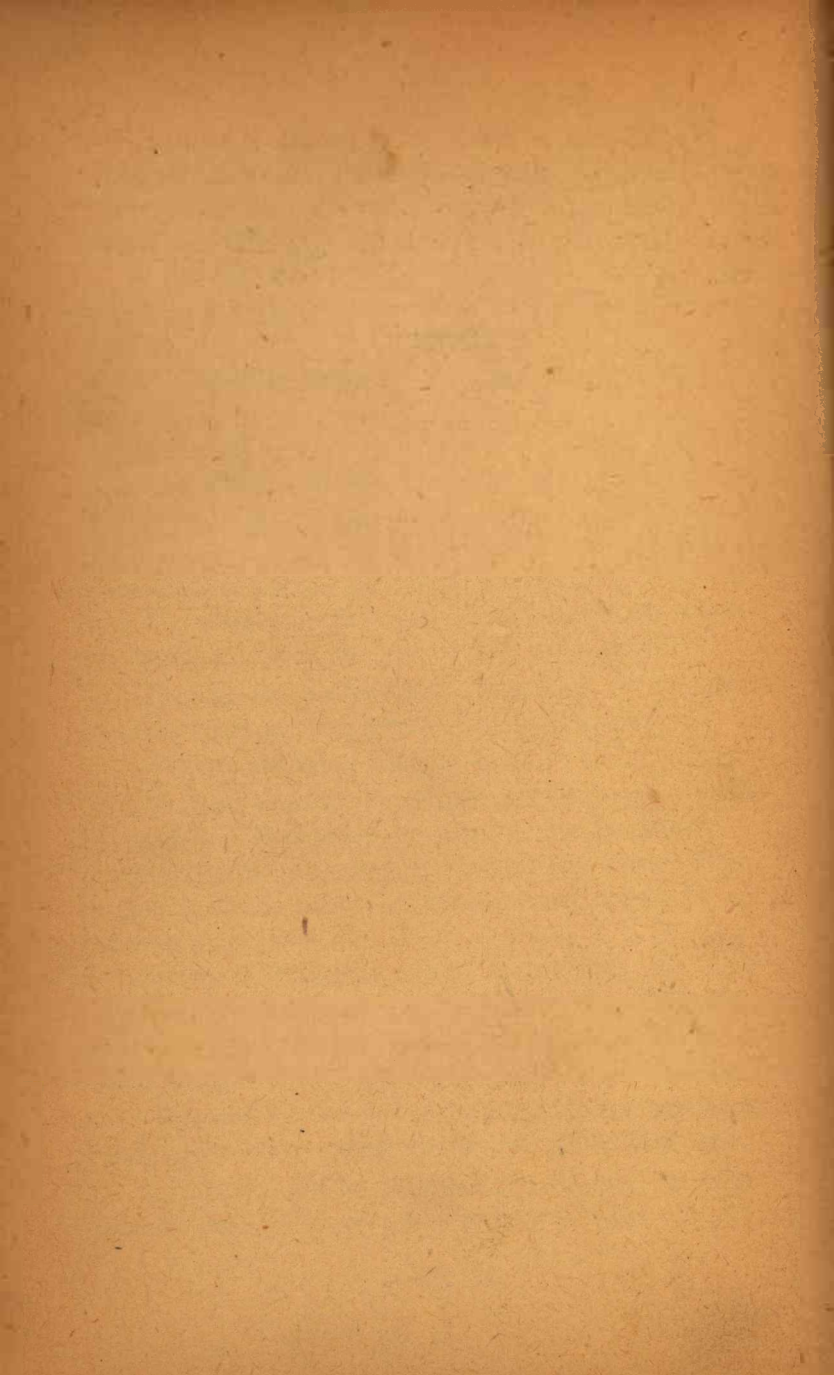
Sierżant był wesół — kpił z jeńców, parobczakowi, który owce pędził rzucił dwa złote mówiąc:

— Bywaj zdrów chłopie, a pamiętaj, że przed twojami owcami austriackie wojsko uciekło!

Tegoż dnia, w późną noc, gwarnie i wesoło było w obozowisku ułanów. Śpiewano hulaszczce piosnki, pito i wiwatowano — sam pan szef Strzyżowski uściskał Jaszczułda i wypił kubek gorzałki na jego cześć.



BIBLIOTEKA
Urządników Krak. Twa. 1914. 1915.
W BZESZOWIE.



XV.

Nieugięty.

Z głównej kwatery nadeszły rozkazy. Zawiadomiono w nich szefa Strzyżowskiego, że rozejm został zawarty i kroki nieprzyjacielskie winny być wstrzymane. Wojska polskie i austriackie miały pozostać na dotychczas zajmowanych stanowiskach. Dniestr przyjęto jako linię demarkacyjną.

Strzyżowski wysłał natychmiast parlamentarza do obozu generała austriackiego Mehrfelda w Tłumaczu z wiadomością o rozejmie, przyczem prosił go listownie, by wydał mu, wziętego do niewoli, porucznika ułanów, Jana Kopestyńskiego.

Kopestyński, znany z brawury oficer, który przeleciał pod Tarnopolem, na czele swego plutonu, cały obóz austriacki i odznaczył się chlubnie w całym szeregu bitew, wpadł w ręce Austryaków w ostatniej potyczce nad Dniestrem, gdzie zginął także śmiercią walecznych trębacz Borysiewicz, postrach wszystkich oddziałów austriackich, o którego śmierci zawiadomił Mehrfeld swoje wojsko w dziennym rozkazie.

Wszyscy byli przekonani, że Mehrfeld natychmiast uwolni Kopestyńskiego, lub wymieni go, za którego ze schwytyanych swoich oficerów. Lecz Kopestyń-

ski był dawniej oficerem austriackim i służył pod rozkazami Mehrfelda. Mściwy generał, nie bacząc na rozejm, postawił go jako zdrajcę i zbiega pod sąd wojenny.

Kopestyński mógł uległością okupić życie. Przychodzili doń oficerowie niemieccy, przychodził bardzo dlań przychylny rotmistrz von Hohenau, nakłaniając go, by prosił o łaskę, — napróżno, — Kopestyński był nieugięty. Dorodny, hoży, z junacko podkreconym wąsikiem i hardo podniesionem czołem, stanął przed sądem wojennym.

— Przysięgałeś cesarzowi i na chorągiew? — zapytał go przewodniczący.

— Przysięgałem — brzmiała odpowiedź.

— Dlaczego złamałeś przysięgę? Dlaczego z chwilą wybuchu wojny nie stawiałeś się w swoim pułku?

— Wpierw byłem Polakiem, a potem austriackim oficerem. Wstąpiłem do waszego wojska, by się nauczyć sztuki wojennej, a gdy przyszła chwila, w której ojczyzna zapotrzebowała mego ramienia, oddałem się jej na usługi.

— Przyznajesz zatem, że już przy wstąpieniu do wojska miałeś złe zamiary! — rzekł audytor ostro. — Przysięgałeś fałszywie!

— Wedle waszego mniemania — odparł Kopestyński, patrząc audytorowi prosto w oczy. — Wyście także przyczynili się do rozszarpania naszego kraju. Wyście go wyniszczyli, znieprawili, wycisnęli podatkami, nasłaliście do nas hordy karyerowiczów. Za rozkazem waszego cesarza kościoły nasze obrócono na koszary lub na budynki rządowe, staraliście się

wydrzeć nam język ojczysty, zmienić nas w Niemców, a dziś żądacie od nas wierności?!

Mówił śmiało, donośnie, nieulekłym wzrokiem spoglądając na sędziów, a oni milczeli, czując że ten człowiek mówi im prawdę.

— Mości panie — rzekł wreszcie audytor, — nie przyszliśmy tu słuchać kazania! Stoisz przed sądem, obwiniony o zdradę i zbiegostwo!

Kopestyński nabiegł krwią z oburzenia.

— Nie macie prawa sądzić mnie! — zawołał groźnie. — Jestem oficerem polskim! Rozejm zawarty — odpowiecie za mnie przed rządem Księstwa Warszawskiego, przed cesarzem Napoleonem!

Generał Mehrfeld zgrzytnął zębami i roześmiał się szyderczo.

— Nim my odpowiemy, wprzód ty przed nami odpowiesz, mości oficerze polski!

Sąd wyszedł na naradę — pomimo protestu rotmistrza von Hohenau, który chciał jeńca ocalić, skazano Kopestyńskiego na śmierć przez rozstrzelanie. Gdy skazanemu obwieszczono wyrok sądu, splunął i rzekł z pogardą:

— Mordercy! podpalacze!

Nie było dlań ratunku — dzielne ułany Strzyżowskiego byli daleko — aż w Monasterzyskach — rozejm był zawarty, Austriacy karali go jako zbiega z pod swoich sztandarów. Napróżno prosił rycerski von Hohenau — Mehrfeld nie znał litości — wyrok musiał być wykonany.

Z rozjaśnioną twarzą stanął Kopestyński przed lufami karabinów. Zdarto zeń galonki oficera, przełamano szablę nad jego głową...

Podszedł von Hohenau, uściskał dłoń nieugiętego męża, a on mundur rozdarł na piersi, kask ułański wyrzucił w górę i zawołał do żołnierzy:

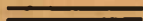
— Strzelajcie!

Sześć kul go przeszło — bez jęku zważył się na ziemię.

Pochowano go na tłumackim cmentarzu.

Zginął, lecz nie ugiął się przed przemocą.

Nieznany grób jego, dziś zielona ruń porasta.



XVI.

Sejm konfederacki.

Warszawa zawrzała. Armia francuska ruszyła ku granicom Rosyi, a do stolicy Księstwa zjeżdżali ze wszech stron posłowie na sejm, przez cesarza zwołany. Wreszcie przybył kuryer od cesarza, z poleceniem otwarcia sejmu w dniu 23. czerwca i zarazem przywiózł odezwę Napoleona, wydaną do armii, w której cesarz zapowiadał „drugą wojnę polską“.

Gorączka ogarnęła całe miasto. W arystokratycznych salonach i w domkach mieszczańskich opowiadano sobie jak przychylnie przyjął cesarz pana ministra Matuszewicza, jak zapowiedział, że Polskę przywróci, byle uczynić konfederacyę i udać się doń z prośbą o przywrócenia zabranych prowincyi, mówiono o nadzwyczajnem krzątaniu się ambasadora francuskiego w Warszawie, arcybiskupa Pradta, o przybyciu na sejm sędziwego generała ziem podolskich, księcia Adama Czartoryskiego, któremu pan Piotr Łubieński ustąpił sejmowego mandatu. Wszystkie te wieści zelektryzowały opinię publiczną, najobojętniejszych pobudziły do czynu.

Nikt nie wątpił, że wstanie znów Polska, od morza do morza, w dawnych granicach, potężna, sąsia-

dom groźna. Wszak mieli przyrzeczenie z ust niezwy-
cięzonego dotąd mocarza, stojącego na czele półmili-
lionowej armii, w skład w której wchodził ośmdzie-
sięciotysięczny korpus polski, dowodzony przez księ-
cia Józefa Poniatowskiego.

Nadszedł wreszcie dzień 23. czerwca 1812 roku.

Izba poselska i galerye zapełniły się szczelnie. Przybył ambasador francuski ksiądz de Pradt, wytworne damy zasiadły w łóżach. Siwiuteńki jak gołąb ksiązę Czartoryski, objął przewodnictwo sejmku i zajął prezydyalne miejsce.

— Wysoka Izbo — zaczął ksiązę, — dzięki wspaniałomyślnemu monarsze możemy śmiało przy-
stąpić do obrad nad obmyśleniem jak najprędzych sposobów przywrócenia ojczyzny jej dawnemu bytowi i szczęściu.

Drżącą ręką rozwinął leżący przed nim papier i czytać zaczął. Była to prośba obywateli litewskich, wzywająca sejm i naród do odbudowania Polski.

— Wzywamy was — czytał ksiązę, — w imieniu naszym i pokoleń naszych, abyście się zajęli niezwłocznie wielkim odzyskania Ojczyzny przedmiotem. Śmie-
cie! Czyńcie!

Posłowie powstali z ław.

— Niech żyją nasi bracia Litwini! Niech żyje Li-
twa i Korona! — rozległy się wołania.

Minister Matuszewicz powstał ze swego krzesła, wyprostował swą wyniosłą postać i mówić zaczął. Wyliczył krzywdy jakich doznał naród polski i podniósł z naciskiem, że Polska jest potrzebną dla Fran-
cyi, celem utrzymania równowagi europejskiej.

— Petycja obywateli Litwy, domaga się przyłączenia ich krajów do Księstwa, w niedalekiej przeszłości Królestwa Polskiego — mówił pan minister. —
— Dziś nic nie stoi na przeszkodzie do uczynienia zadość ich prośbie. Wojska wielkiego cesarza zajmują już dziś niemal całą Litwę, w zwycięskim pochodzie idą one coraz dalej. Jeśli przeto w dawniejszych czasach wszystko sprzyślało się na naszą zgubę, w dzisiejszych wszystko sprzyja dźwignieniu naszemu. Powstanie więc Polska! Co mówię? — kończył z zapalem — jest już Polska!

Rozległ się grzmot frenetycznych oklasków. Wzruszenie ogarnęło obecnych, publiczność na galerii ścisła się wzajemnie. Jako więc sam minister? Sam minister wypowiada się tak otwarcie, więc przecież nie zawiódł nas Napoleon! Nawet ambasador słucha z uwagą przemówienia pana Matuszewicza i w dłonie klaska! Wybuchają okrzyki, zapal ogromny ogarnia zebranych, większość publiczności opuszcza salę i wychodzi, by oznajmić tę nowinę oczekującym na ulicy tłumom.

Posłowie radzą jeszcze dłuższą chwilę. W największej zgodzie, jednogłośnie, oświadczają się za natychmiastowem zawiązaniem generalnej konfederacji Królestwa Polskiego i obierają księcia Czartoryskiego prezesem tejże.

— Niech żyje książę marszałek! — wybuchają ponowne okrzyki.

W uniesieniu porywają księcia na ramiona i wynoszą na balkon. Na ten widok tłum, poinformowany o tem co się w izbie poselskiej dzieje, odkrywa głowy.

— Niech żyje książę marszałek! Niech żyje Rada konfederacka!

Książę daje znak ręką, że chce mówić.

— Kochani rodacy, — mówi donośnym głosem — przed chwilą sejm zawiązał generalną konfederację, a ja jako jej marszałek, oświadczam w jej imieniu, uroczyście przed światem i narodem, iż od tej chwili Królestwo Polskie jest przywrócone i naród polski na nowo, w jedno ciało połączony.

Ludzie pokłękli, nastała uroczysta cisza, tak, że słyhać było nawet brzęczenie much w powietrzu, aż naraz z tysięcy piersi buchnął tryumfalny, rozgłosny marsz Dąbrowskiego.



XVII.

«Basia».

Zdemoralizowane, zziębnięte, wlokły się resztki wielkiej armii od Berezyny, formalnie topniejąc w oczach wodzów, raczej do mar niż do ludzi podobne. Mróz ścisnął coraz dotkliwszy, zdarte w łachmany mundury nie chroniły przed zimnem, z obuwia zostały strzępy. Wicher, wierny sojusznik mrozu i Rosyi, przenikał do szpiku kości, zazierał ciekawie pod łachmany, wędził wynędzniałe ciała, wytrącał broń z ręki najdzielniejszym żołnierzom. A z wichrem w zawody, gnali ułani Czaplica i kozacy Płatowa, nie pozwalając nieszczęśliwym niedobitkom rozpalenia ognisk, spędzając ich z miejsca chwilowego wypoczynku. Za ledwie wyszukali odrobinę przemokłego chrustu, za ledwie rozpalili maluchny ogieniek, by rozgrzać skostniałe członki, zrywała się zamieć śnieżna, a wraz z nią rozlegał się przerażający, duszę przenikający okrzyk:

— *Urra! Urra!*

I znów porzucali ogniska, niedogotowaną przysmak ziemniaków, gdzieś po drodze u chłopca wyżebranych, i uchodzili dalej, tą dantejską drogą.

I widziałeś starych wiarusów, którzy murem stali w piekielnym ogniu Marenga, Austerlitzu i Jeny, wi-

działał butnych kirasyerów, jak ornatami, lub kobiecimi sukniami odziani, gromadami uchodzili przed lada chmyzem-kozaczną, jak całe kompanie starej gwardyi składały broń przed dońskim patrolem, z kilku ludzi złożonym. Zwątpienie, rozpacz, ogarnęła te, niezwyciężone dotąd zastępy. Mały kapral, ubóstwiany cesarz, opuścił armię, pozostawił ich na los szczęścia, wśród bezbrzeżnych stepów Rosyi...

Zguba, zatrata!...

Czyż ta piekielna droga nigdy się nie skończy?!

Za nimi, przed nimi, niby drogowskazy, sterczały skostniałe trupy ludzi i koni. Sterczały w takiej pozycji, w jakiej je mróz i zamieć zachwyciły. A iluż dzielnych zuchów zmarzło pod śniegiem, iluż poszło na pokarm rybom Berezyny?! Miejscami sterczała z pod śniegu lanca zaszypanego ułana, lub ściśnięta kurczowo dłoń, zdająca się grozić Bogu, Rosyi, a nawet ubóstwianemu dotąd cesarzowi.

Opuścił nas, opuścił!...

Słowa te wymawiały co chwila zsiniałe wargi żołnierzy. A on, o tej porze, pod osłoną ułanów Stokowskiego, gnał ku Warszawie, by dostawszy się do Paryża, sformować nową armię, na czele której pomściłby wstyd i doznane upokorzenia.

Byle do Wilna, byle do Wilna!

To Wilno zdawało się żołnierzom jakąś bezpieczną przystanią. Tam miały ich oczekiwać zapasy, ofiarnością Litwinów nagromadzone i piętnastotysięczny korpus świeżego wojska.

Przez zasy py śnieżne przebijało się działa w dwa konie zaprzężone i trzech ludzi, w mundurach polskiej artyleryi. Jeden z nich poganiał konie, dwaj zaś szli

w tyle, dopomagając koniom w wyciąganiu armaty. Szkapiska były chude jak szkielety, ludzie na śmierć zbiedzeni, lecz mimo tego szli naprzód.

Idący w tyle, starszy człowiek, z odznakami bombardyera, przynaglał obu towarzyszy do pośpiechu.

— Prędzej Krupo, prędzej! — mówił śpiewnym, litewskim akcentem. — Do litewskiej granicy niedaleko. Ot, milek parę i staniemy na własnej ziemi!

Zerwała się wichura, śnieg jął padać wielkimi płatami, i zalepiał oczy trzem kanonierom.

Konie wysilone forsownym pochodem przystały.

— Masz dyable kaftan! — zaklął Krupa. — Panie bombardyerze Butkiewicz, chyba nie pojedziemy dalej! Szkapiska ustały!

— Bodaj to najjaśniejsze pioruny! — zawtórował bombardyer, — a cóż pocniemy na tem pustkowiu?!

— Jest tam w jaszczyku trochę kory i trzasek, com je po drodze z drzew nałupał — odparł Krupa, — więc staniemy se i rozniecimy ognisko.

— Jest wódka i chleba krztyna, to i wieczerza paradna — uzupełnił drugi kanonier. — Noc zapada, a koniska na nic zmordowane.

— Pleciesz Żerkuć, jak Piekarski na mękach! — burknął bombardyer Butkiewicz. — Rozpalimy ogień, a kozacy zleczą się niby kruki na świeże ścierwo.

Oparł się o miedzianą rurę działa i westchnął ciężko.

— Na taki by ci koniec przyszło dzielna „Basiu“! — mówił, obejmując armatę niemal pieszczołliwie. —

Powlekli by cię kozunie, żydom smoleńskim sprzedali, poszłabyś na jakie kotły i naczynia ! Niedoczekanie ich takich synów ! Pilnowałem cię, chuchałem, czyściłem, aż blask od cię bił na paradach !

Żerkuć wzruszył ramionami.

— Panie bombardyerze, trudno, — „Basi“ taki nie uratujemy. Jak już nie można ognia rozpalić, to wyprzęgnijmy konie, działo zostawmy i w dyrdy !

Bombardyer zachnął się — spojrzał srogo na swych towarzyszy, którzy stali oparci o konie.

— Żerkuć, Krupa ! — huknął, — toż cała nasza artylerya prawie jednego działka nie uroniła, a my mielibyśmy „Baśkę“ zaprzepaścić ? ! Co powie pan pułkownik Górski, a co powiedziałyby sam książę ? ! Pamiętacie, pod Borodynem, gdzie granat urwał nogę szefowi Sowińskiemu, a on na ziemi leżąc dalej komenderował ? ! Rozgrzała się tam nasza „Basia“ — co ? Dawajcie wódkę który !

Krupa sięgnął po manierkę i podał ją bombardyerowi. Łyknęli po odrobinie, to ich skrzepiło nieco.

— Sam książę Józef przyjechał do naszej baterii — ciągnął bombardyer dalej. — Poklepał mnie po ramieniu, pogłodził „Basię“ i rzekł: „dzielne chłopcy kanoniery, dzielne chłopcy !“ Uważacie — pogłodził ! I my byśmy takie działko, taką „Basię“ kozuniom oddali ? !

Wódka rozmarzyła zziębniętego bombardyera, — spojrzał na konie, na stojących przy nich obu kanonierów — zdawało mu się, że Krupa, Żerkuć i konie zasypiają, że oczy ich stają się coraz bardziej szkliste.

Sen go morzył — stary wiarus zrozumiał, że to śmierć idzie, że to nie zwykły sen, lecz sen śmierci

ich chwyta, sen który uśpił tyle tysięcy towarzyszy. Oprzytomniał, zerwał się na równe nogi i jął szarpać swych podkomendnych.

— Popiliście się, czy co do kroćset batalionów?

Lecz żaden nie odpowiadał. Stali w miejscu, jak zakłęci.

— Zmęczeni — mruknął bombardyer do siebie.

— Nie dziwota, upaliliśmy dziś mil niemało. Zdrzemnę się i ja odrobinę, a potem rozbudzę ich i dalej w drogę.

Dotknął ręką działa i wsparł głowę o jaszczyk.

— Nie dam cię „Basiu“, nie dam! Ciebie sam książę chwalił!... Nie opuszczę cię!...

Uśmiechnął się i przymknął oczy. Było mu dziwnie błogo, dziwnie dobrze. Zdawało mu się, że jest w swym zaścianku, tam nad Wilejką, że matka świeczki u choinki zapala, a siostry stół białym jak śnieg obrusem i sianem zaścielają.

Wicher zawył ze szaloną wściekłością, zerwał się tuman śniegu i przykrył, jakby białym całunem, ciała koni i trzech wiarusów....

Nad ranem zadymka uspokoiła się, jakaś martwota opadła na świat boży, z za chmur wyrżał blady, zimowy promyk słońca.

W górze rozległo się złowrogie krakanie, załopotwały skrzydła kruków.

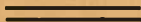
Na drodze — zjawił się oddział kozaków. Ich twarze były sino-czerwone, na wąsach i brodach lodowe sople. Z pysków końskich buchały kłęby pary. Dowódca rekonesansu dojrzawszy śniegową bryłę, jął tylcem spisy śnieg strącać. Ujrzał wyszczerzone zęby u ludzi i koni, wstrząsnął się z obrzydzenia.

— *Wot polskije kanoniery!* — rzekł do swoich.

Obojętnym wzrokiem spojrzął na armatę i machnął ręką.

— *W pierod!* — rzucił przez zęby, — tu ię nie obłowimy! „Puszek“ dość po drodze!

A kraczące stado, nie gardząc zdobyczą, zlatywało coraz niżej, niżej...



BIBLIOTEKA
Grzegorzkiw Kuch. Tow. Wzajemności
w BZIEBONIE

Pod murami Lipska.

Już trzeci dzień grzmiały pod Lipskiem działa. Tysiąc pięćset ze strony sprzymierzonych, ośmset ze strony francuskiej, pomrukiwały nieustannym basem, ścieląc stosy trupów. Na ogromnych równinach przed miastem, nad brzegami Pleissy i Elstery, leżały tysiące ciał ludzkich i końskich, poszarpanych bagnietami, porozrywanych w strzępy kartaczami. Największe masy trupów piętrzyły się w opłotkach wsi Doelitz, gdzie jeszcze wczoraj o zmroku bataliony polskie prowadzone przez księcia Józefa Poniatowskiego, starty się z Austryakami, którzy przeszedłszy w bród Pleisę, uderzyli na stanowiska przez Polaków zajmowane. Lecz wszelkie usiłowania generała austriackiego Meerveldta rozbiły się o nieprzełamany opór polskiej piechoty, która wpędziła w końcu Austryaków do Doelitz i zmusiła ich do złożenia broni. Tam, wśród rumowisk zwalonych domów, ujrzały wojska polskie cesarza, który przed ich frontem uściskał księcia Józefa i mianował go marszałkiem Francyi.

Lecz gwiazda Napoleona zachodziła. Polacy i Francuzi utrzymali się wprawdzie na stanowiskach swoich pod Konewitz, jednak przejście Sasów na stro-

nę sprzymierzonych, brak amunicji w obozie francuskim, a nade wszystko przewaga artylerji nieprzyjacielskiej, skłoniły wielkiego cesarza do wydania rozkazów do odwrotu.

Wieczorem ruszył korpus Bertranda do Weissenfels, zaś w nocy ściągnięto z biwaków główne masy wojska i pchnięto je na trakt ku Lützen.

Rankiem 19. października cesarz zjawił się na moście przez Pleisę wiodącym. Chmurnem okiem spojrzął w stronę przedmiejskich ogrodów, gdzie za drzewami kryli się tyralierzy korpusów Sackena i Schwarzenberga, poczem zdawszy obronę Lipska i bezpieczeństwo cofającej się armii księciu Poniatowskiemu i marszałkowi Macdonaldowi, galopem popędził przez miasto.

Garstka wojska polskiego, licząca niespełna trzy tysiące żołnierza, zajęła stanowisko od bramy Grima do Peterskiej. Szeregi stały w ponurem milczeniu, każdy żołnierz wiedział, że niema najmniejszej nadziei zwycięstwa, że cesarz pozostawił ich na straconym posterunku. Widzieli, jak żołnierze z korpusu Macdonalda wykradają się z szeregów i uchodzą za wielką armią, jednak żadnemu z nich ucieczka nawet przez myśl nie przeszła. Bo oto na froncie, otoczony garścią Krakusów i kirasyerów, stał ich wódz ukochany, książę Józef „pierwszy ułan“ polskiej armii, chluba całego narodu.

Książę siedział na swym przepyszny koniu, z lewą ręką na temblaku, gdyż o świcie, szarżując osobiście na tyralierów pruskich, postrzał karabinowy otrzymał i spokojnie śledził wychodzące z ogrodów kolumny nieprzyjacielskie.

Żal jakiś chwycił serce księcia. Mimowoli rzucił okiem na swój szczupły korpusik. Co mu tam marszałkowstwo Francyi, co mu tam wstęga wielkiej legji, kiedy oto trupy jego zuchów leżały kupami na całej przestrzeni od Prostheidy po Doelitz i Konnewitz. Żal mu było tych potoków krwi, w obcej sprawie przelanych, żal śmierci tylu tysięcy wiarusów.

Z chwilowej zadumy wyrwały księcia okrzyki i wystrzały armatnie. Głębokie kolumny piechurów Sackena, docierały do mostu.

Z oczu księcia strzeliły błyskawice gniewu.

— Krakusy, za mną! Wynieść mi tę hołotę!

Zerwały się lotne szwadrony. Książę pochylił się w siodle, szablę wychwycił z pochwy.

— Galopem! Marsz, marsz!

Małe koniki parsknęły rażno. Oto ubóstwiany wódz jest na czele, oto raz jeszcze wiedzie Krakusów do śmiertelnego tańca.

Wiatr rozwiewa burkę księcia. On kask ułański zasunął z fantazyą na lewe ucho i gna z wichrem w zawody. Małe koniki dzwonią podkowami, z pod ich kopyt iskry lecą.

— Naprzód! Naprzód!

Wyciągnięta linia polskiej jazdy spada na karki pruskich i austriackich piechurów. Zabarwiły się chorągiewki, groty, skąpały się we wrażej krwi. Nie dotrzymali piechury placu — pierzchli w ogrody. Przeciw Krakusom pomyka cały pułk huzarów węgierskich — nad ich głowami szerokie, krzywe szable migocą.

— Hej, hej!

Książę ręką skinie, a z huzarów ani śladu. Rozbici, rozprószeni, rozbiegają się po całym polu.

To ksiązę Józef atak prowadzi! Wódz nad wodze, ułan nad ułany!

Krakusi z wolna wracają na dawne stanowisko. Sam ksiązę Schwarzenberg zjawia się na placu boju i prowadzi za sobą mnogie pułki piechoty i konną artylerję.

Ksiązę Józef każe cofać się swoim. Batalion za batalionem, szwadron za szwadronem przechodzą most na Pleissie. Przy moście stoi jeszcze ksiązę ze swą eskortą i garść piechoty, pod wodzą pułkownika Rybińskiego.

Naraz z tyłu posypał się na Francuzów i Polaków grad żelaza. To stojący w Lipsku Hesi i Badeńscy zdradzili cesarza i przeszli na stronę sprzymierzonych. Na odgłos strzałów w mieście, piechota austriacka, z okrzykiem tryumfu, ruszyła pędem ku mostowi.

W tej chwili rozległ się straszliwy huk, skłębiły się dymy i buchnął płomień. Walczącym dech zamarł w piersiach, przerażony wzrok biegł ku mostowi, skąd co chwila dochodził odgłos rozsypującego się w gruzy kamienia i leciały w górę belki, żelazo, złomy i ciała ludzkie.

Z mostu nie pozostało niemal żadnego śladu. Znikło wszystko, sterczały tylko osmolone dymem filary.

— Mości ksiązę! — zakrzyknął pułkownik Rybiński, — mostu niema!

Groza przejęła serca wojowników, w osłupieniu spoglądali na dymiące gruzy.

To oficer saperów francuskich, mający straż nad mostem, nie wiedząc co się dzieje po drugiej stronie

rzeki, pospieszył się zanadto i wysadził most w powietrze.

Oficerowie bezradnie spojrzeli na siebie. Jedyna droga do odwrotu była zamknięta, nieprzyjaciel parł ich coraz natarczywiej, nieustający ogień parzył ich ze wszęch stron.

— Ku rzece, ku rzece! — huknął książę gromkim głosem.

Szalona szarża Krakusów raz jeszcze odparła chmury tyralierów, piechota polska zwierąła się w czworobok nad stromym brzegiem błotnistej i wezbranej Pleissy.

Przyskoczyło kilku sztabowców, jęli błagać księcia, by się poddał wobec niemożebności obrony, Małachowski zaklinał go, by osobę swoją dla Polski zachował.

Książę hardo podniósł głowę.

— Trzeba umrzeć mężnie! — odrzekł lakonicznie.

Na w pół przytomny, rozgorączkowany, wyczerpany śmiertelnie, rzucił się wpław do Pleissy, lecz porwała go siła prądu i jęła unosić. Kapitan francuski Blechamp dopadł księcia i szczęśliwie przedostał się z nim na drugą stronę.

Przed nimi była jeszcze głęboka i błotnista odnoga Elstery. Książę i kilku oficerów szli ku niej pieszo, przez ogrody. Nad brzegiem rzeki oczekiwała ich garstka ułanów.

Od strony Pleissy gwizdnęły kule — książę za bok się chwycił i padł na ręce oficerów. Lecz w tej chwili oprzytomniał, stanął na nogach i krzyknął donośnym głosem:

— Konia!

Blechamp złożył ręce jak do modlitwy.

— Ulituj się wasza książęca mość nad samym sobą! Pozwól się opatrzeć, powierz komendę Małachowskiemu!

— Nie, nie, — odparł książę z mocą, — Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go tylko oddam!

Podano mu konia. Książę dosiadł go z trudem. Krwią ociekał, chwiał się na siodle, lecz mimo to skierował się ku Elsterze.

Stanęli nad brzegiem. Książę bez namysłu wspiął konia i skoczył w nurty szumiącej rzeki. Sztabowcy poszli w jego ślady.

Przez ogrody pędem biegła pruska piechota. Idący na przodzie oficer dojrzał grupkę płynących jeźdźców, machnął szpadą i zakomenderował:

— *Feuer!*

Mimo silnego prądu, dzielny koń, jak gdyby wiedział kogo na sobie niesie docierał już do brzegu, gdy w tej chwili nowa kula dosięgła bohaterskiego wodza. Książę zsunął się z siodła i począł tonąć.

— *Mon Dieu!* — wydobył się rozpaczliwy okrzyk z ust kapitana Blechampa.

Śmiały Francuz rzucił się za księciem. Pochwycił go w ramiona i wypłynął na powierzchnię wody. Chwil kilka pasował się z prądem, kilkakrotnie o ratunek wołał — niestety, w pobliżu nie było nikogo.

Obaj poszli na dno.

Spienione fale Elstery zamknęły się nad nimi i z ponurym szumem pomknęły w dal.

W ulicach Lipska piechota polska składała broń przed cesarzem Aleksandrem...

XXI.

Do końca wierni.

Książę Sułkowski objął komendę nad osieroconym korpusem polskim po lipskiej potrzebie. Był to człowiek osobiście odważny i waleczny, jednak niczem się zresztą więcej nie odznaczał, miru między wojskiem nie posiadał, zaufania w nikim wzbudzić nie umiał. Nic dziwnego, że wybór ten był nadzwyczaj szkodliwy. Pojawili się intryganci, agenci i jęli siać zniechęcenie, nakłaniali oficerów i żołnierzy do opuszczenia Napoleona, opowiadali o nadzwyczajnej łaskawości cesarza Aleksandra, o jego przychylności ku Polakom, przypominali smutne losy wyprawy na San Domingo i przekonywali, że największą niedorzecznością jest wiązać los Polski ze sprawą upadającego mocarza.

Wśród słoty, po rozmięklej ziemi posuwała się armia francusko-polska ku granicom Francji, a w ślad za nią, jak stada żarłocznych kruków ciągnęły liczne oddziały partyzantów pruskich i kozaków Platowa, czyhających na spóźnionych maruderów.

Jakieś zobojętnienie, jakaś niechęć ogarniała polskie szeregi. Tyle lat walki, tyle krwi i trudów poszło na marne. Cały gmach marzeń runął, wszystkie nadzieje spłonęły w strasznym pożarze Moskwy. I oto

teraz znów ich wiodą na nowe boje, na nowe rzezie, znów trzeba będzie składać głowy z dala od ojczystej ziemi. Po co, za co, dla kogo?

Te pytania świdrowały mózgi, zniechęceniem przepełniały serca. Żołnierz, ujęty w karby surowej dyscypliny, włókł się za armią cesarską, lecz ciągle nadśluchiwał rychło li generałowie wstrzymają pochód i rzekną :

— Dość wiarusy! Ani kroku dalej! Wracamy do ojczyzny!

Nawet wśród wyższych oficerów zauważyć się dały oznaki zniecierpliwienia. Rozpoczęły się szepty, narady, sejmikowanie.

Chwila do opuszczenia sztandarów napoleońskich była najniefortunniej obrana. Sprzeciwiały się temu zarówno pojęcia honoru wojskowego, jak i zasady zdrowej polityki. Cóż mogła zyskać ta garstka niedobitków świetnej niegdyś armii, porzucając cesarza? Chyba kilka marnych obietnic i pozwolenie powrotu do kraju, pod sztandarami splamionymi zdradą i odstępstwem.

Lecz byli to żołnierze nie dyplomaci. Nie byli zdolni do refleksyi tego rodzaju. „Cesarz nas zawiódł — powiadali niektórzy, — po jakiego dyabła mamy nakładać zań głowę? Czyż mało mu dotąd krwi naszej, małoż nas padło pod Friedlandem, pod Eylau, w stepach Rosyi, pod Dreznem i pod murami Lipska?! Dość na miły Bóg tych ofiar, dość wierności, zachowajmy ramiona na usługi własnej ziemi“!

I wszczęła się dezercya — rzecz dotychczas w armii polskiej niesłychana. Jaki taki zmykał i znajdował oparcie w obozie sprzymierzonych. Aż jednego

poranku gruchnęła po szeregach wieść, która zdemoralizowała do reszty zastępy polskie.

Batalion grenadyerów gwardyi polskiej, z pułkownikiem swoim Kurcyuszem, przeszedł w nocy do nieprzyjaciela!

Chryste Panie, gwardya zdradziła cesarza! Grenadyerzy polscy, z których prawie połowa miała krzyże legii honorowej, faworyci, ulubieńcy cesarscy!

Książę Sułkowski widząc, że wszystko na wspak idzie, że węzły dyscypliny z dnia na dzień coraz więcej się rozluźniają, zwołał wszystkich niemal oficerów.

— Mości panowie oficerowie — przemówił stanowczym głosem, — tak dalej być nie powinno. To skandal prawdziwy, by oficerowie i żołnierze polscy zbiegali z pod chorągwi. Ja sam widzę, że jesteśmy bojownikami przegranej sprawy, lecz na miły Bóg, nie kalajmy się zdradą! Dotrwajmy jeszcze dni kilka. Odprowadzimy cesarza do Renu, a stamtąd, zaręczam wam generalskiem słowem honoru, poprowadzę was z powrotem do kraju. Cóż — zgadzacie się?

Po dłuższej chwili milczenia, z grona oficerów wystąpił generał Krukowiecki.

— Dobrze — rzekł, — niech i tak będzie. Ale tylko do Renu.

Książę uspokojony dosiadł konia i dalej poprowadził polskie pułki.

Tego samego dnia cesarz dowiedział się o wszystkim co się dzieje w polskim obozie. Do szeregu nieszczęść, które od dłuższego czasu waliły się mu na głowę przybywało jeszcze odstępstwo Polaków. Cesarz znał dobrze dzielność polskiego żołnierza, cenił ją nadzwyczajnie, to też ubytek przeszło siedmio-ty-

sięcznego korpusu był mu bardzo nie na rękę.

— Słyszałeś? — rzekł do marszałka Mortiera — Polacy chcą mnie opuścić.

— Słyszałem *sire* — odparł zagadnięty.

— Hm, hm, — mruknął cesarz, — po części mają rację. Postępowałem z nimi trochę nieszczerze. Z duszy radbym naprawić. No — stało się!

Zamyślił się.

— Nie — przecież nie mogę pozbywać się tylu dzielnych ludzi. Zwłaszcza ich jazda — szalone chłopy, odważne jak lwy! Pojadę do nich, przemówię im do serca.

— *Sire* — podjął marszałek, — zważaj co czynisz. Gotowi pojmać cię, by za cenę twej osoby zaskarbić sobie łaski Aleksandra.

Cesarz zachnął się niecierpliwie.

— Nieprawda Mortier, mylisz się — zaprzeczył żywo. — Ty ich nie znasz! To za szlachetny naród ci Polacy, by byli zdolni dopuścić się podobnej podobności.

— A któż ręczyć za nich może, że nie uczynią tego. Jeśli dziś nurtuje między nimi myśl o odstępstwie, to zaufać im w zupełności niepodobno.

— Mimo wszystko jadę do nich — wyrzekł cesarz z uporem. — *Morbleu*, jadę sam!

To rzekłszy zwrócił konia i ruszył w stronę idących w tylnej straży polskich hufców.

Na wiadomość o zbliżaniu się cesarza korpus polski zatrzymał się w pochodzie i stanął w rozwiniętym froncie. Oficerowie wyjechali na czoło kolumny.

Cesarz nadszedł galopem i wstrzymał konia przed grupą sztabowców.

— Baczość! Prezentuj broń! — rozległ się głos komendy.

Nie tak witano cesarza przed niedawnymi czasy. Już na kilkaset kroków odległości biły bębny, kłoniły się sztandary, wybuchały potężne okrzyki na jego cześć. Teraz wojsko stało w milczeniu, zakłopotani sztabowcy nie wiedzieli co czynić mają.

Napoleon snadź wyczuł, że mu nie bardzo radzi. Dotknął kapelusza, odpowiadając na ukłon salutujących sztabowców i stanąwszy przed szeregami, w swym historycznym siwym płaszczu, bystrym wzrokiem rzucał dokoła, jakby chciał zajrzeć w głąb duszy każdego żołnierza.

A oni patrzyli mu w oczy śmiało, niemal wyzywająco, a wzrok ich zdawał się mówić:

— Dość już uczyniliśmy dla ciebie — pozwól, że z kolei o sobie pomyślimy.

Cesarz w towarzystwie Sułkowskiego i Krukowskiego jechał wzdłuż frontu, zatrzymał się wreszcie przed batalionami ósmego pułku.

Potał ręką czoło, poczem odkrząknął głośno i wydobywszy tabakierkę uderzył w nią palcami.

— Słyszałem — zaczął dobitnym głosem, cedząc zwolna, wyraz po wyrazie, — że opuścić mnie zamierzacie. Nie wiem czy przejście do nieprzyjaciela przyniesie wam jakie korzyści. Zbyt was mało w tej chwili, byście mogli zaważyć na szali wypadków wojennych, a to jedno wiem, że postępek taki ściągnie na was zarzut złej wiary i nadwerężenia honoru wojskowego. Przeciwnie, pozostając pod moimi sztandarami, możecie ojczyźnie swojej oddać jeszcze niemałe usługi.

Oficerowie powychodzili z szeregów i zwartem kołem otoczyli cesarza.

— Nie wierzcie fałszywym i złym doradcom — mówił cesarz dalej. — Oni was wiedą na drogę hańby. Mówiono mi, że Polacy dotychczas nigdy się jeszcze nie splamili. Dzieliliście ze mną złą i dobrą dolę, walczyliśmy razem ramię przy ramieniu. Uczyniłem dla waszego kraju co mogłem. W zeszłym roku popełniłem kilka błędów, w czasie wyprawy na Rosyę — trudno, jestem człowiekiem! Apeluję do waszego rycerskiego honoru. Położenie jest chwilowo trudne, lecz nic jeszcze niema straconego. Moja gwiazda jeszcze nie zaszła. Polacy, żołnierze z pod Friedlandu, Raszyna, Możajska, Lipska, czyż opuścicie Francuzów, waszych towarzyszków broni?! Czyż opuścicie cesarza?!

Przymrużył oczy, rękę wsunął w zanadrze i oczekiwiał skutku przemowy.

Rozległ się szcęk wydobywanych szabel, karabiny chrząsnęły, warknęły bębny, chorążowie sztandary podnieśli w górę. Oficerowie i żołnierze złamali szeregi, tłum pogarnął ku cesarzowi.

— Niech żyje cesarz! — rozległ się potężny, grzmiący okrzyk.

— Milion dyabłów! — huknął generał Sokolnicki, — niech żyje cesarz! Pójdziemy za nim chociażby na koniec świata!

— Z nim, z nim! — huczały potężne głosy. — Wytrwamy przy nim do ostatka!

— Wszyscy jak jeden mąż!

— Niemasz zdrajców między nami!

— Prowadź nas, prowadź na wroga!

Cesarz, blady, stał w pośrodku olbrzymiego kłębu ciał ludzkich, trzymał palce przy brzegu kapelusza i mówił wzruszonym głosem :

— Dziękuję wam, dziękuję i przyrzekam uroczyście, że o Polsce nigdy nie zapomnę!

Marszałkowie Mortier i Bertrand, wyczekujący z trwogą powrotu cesarza, ze zdumieniem ujrzeli go, wracającego z uśmiechem na twarzy, otoczonego tłumem oficerów i szeregowców polskich, wśród burzliwych okrzyków :

— Niech żyje cesarz!



XX.

Zgon wodza.

Wódz legionów konał...

Nikt z obecnych przy śmierci jego nie mógł się pogodzić z myślą, że ta wielka, szczytna dusza, opuści ciało i uleci w zaświaty. Przez tyle lat nazwisko wodza było widowym sztandarem dla całego narodu, — każdy wiedział, że Dąbrowski był tym, na którego Polska liczyć mogła w każdej potrzebie. Po pragskiej rzezi on jeden otuchy nie stracił i doradzał, by z bronią w ręku przedzierać się do Francji, on w dwa lata później, z pod stóp śnieżystych Alp, wezwał braci do zaciągania się pod chorągwie narodowe.

I od tej pory widziano go zawsze na czele tych niezwycięzonych zastępów, jakimi były legiony polskie. Zawsze w pierwszym szeregu, czy to w krwawych zapasach nad Trebią, czy pod Novi, czy przy oblężeniu Peschieri, czy też w setkach drobniejszych bitew i potyczek, jakie legionieści na ziemi włoskiej stoczyli.

I jego zasługą było wywalczenie tego skrawka niepodległej ziemi, jaką stanowiło Księstwo Warszawskie, a późniejsze Królestwo Kongresowe. Jedenaście lat krwawej pracy, jedenaście lat wysługiwania się Francji i Bonapartemu! A wszystko dla Niej, dla tej jedynej, nad wszystko umiłowanej Ojczyzny!

I nie tu był jeszcze kres jego pracy. Przyszły jeszcze sławne dni Friedlandu, Tczewa, Gdańska, a potem Raszyna, Możajska, a wreszcie straszny dzień Lipska, odwrotu do Francji i przyprowadzenia resztek armii polskiej z powrotem do kraju.

Lecz nie bohaterowi służyć było pod rozkazami dzikiego brata carskiego. Za tyle lat pracy, tułactwa i poniewierki, należało mu się kilka chwil wytchnienia. Wódz osiadł w Winnogórze i gospodarzył.

Aż przyszedł kres i na niego. Zła choroba powaliła starego żołnierza na łożo śmierci, żołnierza, którego kule powalić nie mogły.

Był to pamiętny dzień 6. czerwca 1818 roku.

Słońce czerwone, żarem ziejące, wzbilo się w górę, a promienie jego przedarły się przez gęstą zieleń drzew i winogrodu i zajrzały do narożnej komnaty winnogórskiego dworu, kędy na zwykłym, niemal żołnierskim łożu leżał pan Henryk Dąbrowski.

A przy łożu klęczała sama małżonka jego, pani Barbara, z dwojgiem dzieci, zaś opodal stanęli w grupie szczerzy druh generała wojewoda Józef Wybicki, ulubiony adjutant Ludwik Szczaniecki, towarzysz tyłu bitew generał Amilkar Kosiński, podpułkownik Prądzyński i sług kilkoro.

Pogodny uśmiech igrał na twarzy konającego wodza. Wzrok jego z miłością ogarniał i dzieci i żonę i druhów szczerych i z lubością zwracał się ku „pamiętkom legiońskim“, w kącie komnaty zgromadzonym.

Obecnym zda się tchu w piersiach brakło — nikt nie śmiał przerywać uroczystej ciszy.

Pleban co tylko przyszedł. Pochylił się nad chorym, by go opatrzyć na drogę wieczności.

Krótką była ta spowiedź. Krótką i prostą, jak prosty i poczciwy był żywot umierającego.

Teraz wódz ręką skinął na znak, że mówić chce. Wszyscy przygarnęli się ku niemu.

— Kres mój już blizki — zaczął pan Dąbrowski słabym głosem.

Odpowiedział mu spazmatyczny płacz żony.

— Basiu, serce, nie płacz, no cóż? Trudno, wola Boża... Wychowaj dzieci nasze, niech trwają w miłości dla tej ziemi... A wy starzy towarzysze — do wojskowych się zwrócił — pamiętajcie! Powiedzcie rodakom, niech na własne siły liczą, niech sami o sobie myślą..., Spiżem jednego celu się przejmijcie a godzina wolności wybije!...

Oślabł, lecz za chwilę dźwignął się, jedną ręką pochwycił rękę żony, drugą dłoń generała Kosińskiego ścisnął.

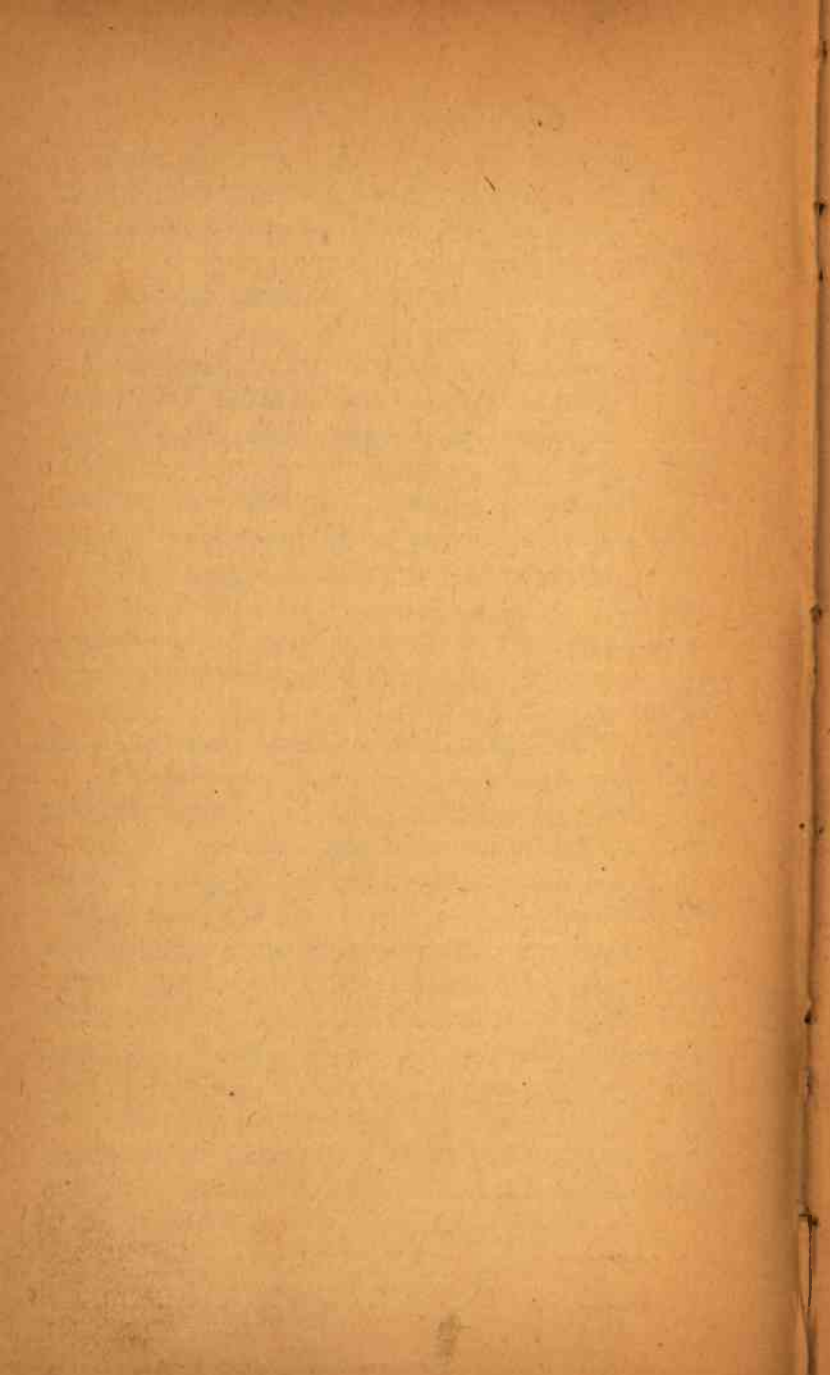
— Żegnajcie mi... żegnajcie... — szeptał — Bóg niech czuwa nad Ojczyzną naszą i nad wami...

Raz jeszcze błysły żywiej jego stalowe oczy, raz jeszcze potoczył niemi po zebranych...

Płomienne, zapałem gorejące jego serce na wieki bić przestało.

Dziewięćdziesiąt dwa lat minęło od śmierci wielkiego wodza, lecz pamięć o nim przez wieki nie zaginie. Dopóki kropla krwi w żyłach naszych, dopóki polskiego imienia na świecie! I wierzymy, że marsz Dąbrowskiego, ta pieśń nadziei i tryumfu, pieśń z której nutą na ustach wrócili legioniści do kraju, jeśli słów testamentu bohatera trzymać się będziemy, doprowadzi nas w końcu do wolnej, niepodległej Ojczyzny.

Na własne siły liczymy, sami o sobie myślimy!



TREŚĆ:

- I. Ludzie - olbrzymy.
- II. Gromowa pieśń.
- III. 3 Maja 1798.
- IV. Adjutant Naczelnika.
- V. Wytrwamy!
- VI. Wierny kapral.
- VII. Nad Trebią.
- VIII. Na bosaka.
- IX. Na San-Domingo.
- X. W wąwozie Somosierry.
- XI. Grenadyer Grabowski.
- XII. Górna chwila.
- XIII. Zajęcie Krakowa.
- XIV. Fantazyja ułańska.
- XV. Nieugięty.
- XVI. Sejm konfederacki.
- XVII. „Basia“.
- XVIII. Pod murami Lipska.
- XIX. Do końca wierni.
- XX. Zgon wodza.



BIBLIOTEKA
Urzedników Krak. Twa. Wzaj. Ubezpieczeń
W BZESZOWIE.

20

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

- 1) **Pod Żyżynem**, obrazek z 1863/64 r., nakładem redakcji „Gońca kresowego“, Stanisławów 1902 (wyczerpane)
- 2) **Sierżant Jaszczułd**, opowieść z czasów napoleońskich nakładem redakcji „Gazety Polskiej“. Czerniowce 1907..
- 3) **Ostatni polski Rząd Narodowy**, nakładem redakcji „Gazety Polskiej“, Czerniowce 1907.
- 4) **Pod borem Żyżyna**, obrazek sceniczny z r. 1863, nakładem księgarni Romana Jasielskiego, Stanisławów 1908.
- 5) **Pod Ostrołęką**, obrazek z r. 1831, nakładem księgarni Romana Jasielskiego, Stanisławów 1908.
- 6) **Dni krwi i chwały**, cykl fragmentów z 1830/31 r., nakładem księgarni Józefa Meinharta, Jarosław 1908.
- 7) **Wesele powstańca**, obrazek sceniczny w 2-ch aktach, nakładem księgarni Jana Maniszewskiego Lwów 1909, (nakład drugi).
- 8) **Pod chorągwią Kościuszki**, trzy obrazki z kościuszkowskiego powstania, nakładem księgarni Jana Maniszewskiego, Lwów 1909.
- 9) **Marsz, marsz Dąbrowski!** cztery obrazki z czasów legionów, nakładem księgarni Jana Maniszewskiego, Lwów 1909.
- 10) **Rzeź galicyjska w r. 1846**, nakładem księgarni Romana Jasielskiego, Stanisławów 1910.
- 11) **Wyprawa Dwernickiego na Wołyń**, nakładem księgarni Romana Jasielskiego, Stanisławów 1909.
- 12) **Za sztandarem Białego orła**, powieść z czasów styczniowego powstania, nakładem księgarni Romana Jasielskiego, Stanisławów 1911.
- 13) **Sztuka życia**, przekład dzieła Prentice Mulforda, nakładem księgarni Jana Maniszewskiego, Lwów 1911, (nakład drugi).

W DRUKU:

- 1) **Wzięcie Warszawy**, opowiadanie historyczne z czasów 1831 r.
- 2) **Z dymem pożarów**, cykl nowel z 1863/64 r.
- 3) **Zwyciężeni**, powieść osnuta na tle styczniowego powstania.

243

30 —

Biblioteka Uniwersyteku
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A.32496

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000182612